

XXXI OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 25 LISTOPADA 2016 R.



ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI
LĘBORK NEWS.pl
TVK KANAŁ 6

*nie zamknę wiersza w klatce
mego serca
ptakiem wyleci
aż tam
jeszcze droga
kreślona lotem słów
aż tam
gdzie prawda
niepogodzona z baśnią
każe wierzyć
we wszystko
i w ciebie*

29 XI 1964

Mieczysław Stryjewski



JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Bożena Ugowska

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Jerzy Piotr Kozerski (Strzepcz)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Karol Graczyk (Toruń)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Dorota Ryst (Warszawa)

III nagroda
Natalia Zalesińska (Katowice)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Grzegorz Maria Pozimka (Inowrocław)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Alfred Siatecki (Zielona Góra)

III nagroda
Katarzyna Żywot-Górecka (Głubczyce)

NAGRODY SPECJALNE:

Burmistrza Miasta Lęborka
Maria Michałowska (Lębork)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Barbara Zakrzewska (Ostrołęka)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Jerzy Stachurski (Czeczewo)
Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Krystyna Lewna (Łęczycze)



NAGRODA GRAND PRIX
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

JERZY PIOTR KOZERSKI

CIĘCIE

Miała do wyboru: nóż kuchenny lub skalpel. „Jestem lekarzem – pomyślała – od zwierząt, ale lekarzem”. Wybrała skalpel. Dalej odbyło się rutynowo, w tym przypadku nie było wielkiej różnicy w budowie samego organu. Przecież był, przede wszystkim, samcem. Wykonała dziesiątki takich zabiegów; wystarczyło ogolić okolice moszny i ją samą, naciąć skalpelem worek mosznowy, wyciągnąć jądro, zacisnąć odpowiednio mocno powrózek nasienny rozpuszczalną nicią, odciąć jądro, dokładnie powtórzyć to samo z drugim jądrem, wreszcie usunąć nadmiar skóry i założyć szwy. Co też uczyniła.

*

Od zawsze miała zręczne dłonie. Jej zdolności manualne pierwsza dostrzegła babcia Julia, u której z mamą przejściowo pomieszkiwały, odkąd ojciec znalazł sobie inną, jak mówiła o niej babcia – wywłokę. Po prostu, gdy nie miała jeszcze trzech lat, zaliczyła swoisty test zręcznościowy. Babcia miała w swej sypialni podłogę z pomalowanych brązową olejną farbą szerokich bukowych desek. W wąską szparę pomiędzy nimi wpadła babcina igła, gdy ta chciała nawlec nitkę, aby zacerować jej skarpetki (matka nie miała do tego talentu). Wszelkie próby jej wyciągnięcia przez obie z pań nie dały rezultatu. Wtedy to ukochana babcina wnuczka, za przyzwoleniem mamy, wyjęła z pudełka dwie zapalki i uchwyciwszy nimi z obu końców oporną igłę, wyciągnęła ją na powierzchnię, przy aplauzie widzów. Oczywiście była za mała, by to pamiętać. Babcia opowiedziała jej o tym zdarzeniu, gdy już chodziła do szkoły.

*

Wspomnienie babci zawsze napełniało ją jakąś ciepłą, uspokajającą falą. Tak było i teraz, ale tylko przez chwilę, do momentu, gdy spojrzała na tą bezwładną, z opuszczonymi do kostek spodniami, namiastkę mężczyzny, który jeszcze przed godziną aspirował do miana supermacho. Z Tomaszem znali się jeszcze z podstawówki, choć określenie: „znali się” było chyba przesadne; chodzili do

tej samej, bo jedynej w tej miejscowości szkoły, on o klasę wyżej. To wszystko. Przypomniała sobie o tym fakcie już później i gdzie indziej. Wtedy co innego zaprzątało jej uwagę. Matka dostała wreszcie rozwód, wkrótce potem poznała tego jedyne, wyśnionego i zamierzała się wyprowadzić do miasta, by zamieszkać tam w trójkę. Tak też się stało – mimo jej gorących protestów i prośb babci Julii.

*

Ojczyzna nie chciała zaakceptować od samego początku, choć, musiała to teraz przyznać, starał się bardzo, by spoglądała nań bardziej przychylnym okiem. Był na straconej pozycji. Przecież to za jego sprawą musiała się pożegnać z całą beztrudną każdego mijającego dotąd dnia, rozstać się z wybaczącą jej wszystko babcią, z ukochaną Łajką, witającą ją za każdym powrotem ze szkoły radosnym szczekaniem; bo gdyby się nie pojawił w ich życiu, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. To przekonanie, była tego świadoma, wypaczało jej widzenie wielu spraw, ale ułatwiało w dawaniu sobie samej rozgrzeszenia z własnych postępów. Z przekory lekceważyła prośby matki – współwinowajczyni tego co ją spotkało – o poświęcenie większej uwagi i czasu nauce. Z marnym świadectwem ukończenia podstawówki, bez żadnego dodatkowego przygotowania, przystąpiła do egzaminu wstępnego do tutejszego liceum o ugruntowanym już prestiżu. Efekt był do przewidzenia. Matka przyjęła otrzymaną informację nad podziw spokojnie. We wrześniu rok szkolny rozpoczęła jako uczennica liceum, zwanego „debilową”, w sąsiednim miasteczku – bagatela, pół godziny jazdy autobusem lub pociągiem. Jedyne odnotowaniem tego faktu była pozostawiona na stoliku w przedpokoju kartka z napisem: na bilet miesięczny i z wsuniętym pod nią banknotem.

*

Poczuła zmęczenie. Z wrodzonej skrupulatności zrobiła najpierw porządek z użytym sprzętem, po oczyszczeniu umieszczając go w torbie lekarskiej. Najchętniej położyłaby się na chwilę, ale miała tylko ten tapczan. Sprawdziła puls leżącego. Potem odchyliła jedną z powiek. Oddychał równomiernie z lekkim poświstem. Już wcześniej zauważyła, że ma lekko skrzywioną przegrodę nosową. Jeszcze miała trochę czasu. Z ulgą usiadła w fotelu prostując nogi. Pomyślała, nie wiedzieć czemu, o torcie truskawkowym, jaki zamówiła dla niej matka, na jej szesnaste urodziny, z jednoczesną sugestią, by zaprosić kilka osób z klasy, do której chodziła. Tort ten był jak arka przymierza między nimi. Przyjęła go, choć jeszcze kilka dni wcześniej, gdy matka stwierdziła, że „maluje się jak...” i choć nie dokończyła porównania, to wystarczyło, by skoczyły sobie do oczu. Przyjęła, bo zdała sobie sprawę, że ta jej wieloletnia totalna negacja wszystkiego, co robi jej matka, jeśli nawet ma czasem uzasadnienie, nikomu nie służy. Nie było to dla niej łatwe, ale musiała się pogodzić z myślą, że inni też mogą

mieć czasem rację. Urodzinowe przyjęcie, na które przyszło kilka dziewczyn, tych z nią dojeżdżających (jakoś nie widziała potrzeby uczestnictwa mieszanego towarzystwa, zwłaszcza, że męska część klasy to byli „piętnastoletni gówniarze”, jak wyraziła się Ola, siedząca z nią w tej samej ławce), upłynęło głównie na wymianie szkolnych ploteczek i zwyczajowym obgadywaniu nieobecnych. Gdy sprzątały po wyjściu koleżanek, powiedziała matce, że umówiły się na sobotnią dyskotekę. Ta skinęła tylko głową.

*

Po raz pierwszy brała udział w takiej imprezie. Ogłuszona rykiem głośników, stała w progu sali, udekorowanej kolorowymi balonikami i srebrzyście połyskującymi kulami, które obracały się nad głowami tańczących. Koleżanki wypatrzyły ją pierwsze i wciągnęły do środka.

- Czego sterczysz jak kołek! - Ola poprowadziła ją za sobą, trzymając mocno za przegub prawej ręki. - Ruszaj się, tańcz!

- Nie umiem! - Czuła się zawstydzona faktem, że rok młodsza od niej kumpela, dostrzegła jej nieporadność i brak doświadczenia.

- Gadanie! Rób to, co inni. - Ola starała się przekrzyknąć natężający się hałas. - Żadna filozofia!

Spróbowała. Czuła, jak jej ciało powoli samo dostosuje się do tempa nadawanego przez perkusistę. Podała się rytmowi muzyki. Jakaś para, wykonując obrót, przypadkowo ją potrąciła, ale nie zwróciła nawet na to uwagi.

- Nata?! - stanął twarzą blisko jej twarzy, lekko odsuwając na bok dziewczynę, z którą tańczył. - Co, nie poznajesz?

Nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Zauważył tę jej rozterkę.

Tomek, z podstawówki. - Ale się przez te kilka lat zmieniłaś! - Jego partnerka, najwyraźniej niezadowolona z rozwoju sytuacji, przytuliła się doń mocno, kierując w stronę baru. Zanim straciła go z oczu, zdążył jeszcze powiedzieć - Nie uciekaj, odnajdę cię.

Nieraz przekonała się potem, że słowa nabierają znaczenia nie tylko w zależności od kontekstu, w jakim zostały wypowiedziane, ale też ich sens weryfikują przyszłe wydarzenia. Natknęli się na siebie, gdy już zbierała się do wyjścia. Tamta dziewczyna go nie odstępowała. Tomek uśmiechnął się przeprasząco. Wzruszyła ramionami.

*

Szybko zapomniała o tamtym spotkaniu. Zresztą temat chłopaków i randek z nimi, który żywo zajmował jej koleżanki, ją jakoś nie kręcił. Znalazła nową pasję - opiekę nad zwierzętami. Zgłosiła się jako wolontariuszka w miejscowym schronisku i cały wolny czas, choć miała go nie za wiele, bo teraz serio podchodziła do nauki, poświęcała czworonożnym podopiecznym. Najbardziej przejmował ją los tych ciężko doświadczonych: zmieniała im opatrunki, podawała lekar-

stwa, karmiła i poila. Powoli zaczęło się rodzić w niej przekonanie, że to jest to, czym będzie się zajmować w dorosłym życiu.

Na początku stycznia, gdy była już rok przed maturą, spotkali się na ulicy, blisko dworca kolejowego, który sąsadował z dworcem pekaes. Ona wracała do domu ze szkoły, on czekał na autobus, który miał go zawieźć do wsi, gdzie przedtem razem mieszkali i uczyli się. To on ją zaczepił, bo chociaż go rozpoznała z daleka, jakoś nie przejawiała chęci do wspominek z dziecięcych lat. Odpowiedziała chłodno na jego powitanie, ale to go nie zniechęciło. Irytowały ją te jego banalne komplementy dotyczące jej urody. Odtrąciła jego rękę, gdy próbował poufałym gestem dotknąć jej twarzy. Roześmiał się głośno.

- Nata, ty zawsze jesteś taka... oziębła?

- Zawsze, zwłaszcza zimą... - odsunęła się widząc, że ponownie próbuje się zbliżyć. - Wybacz, Tomek czy jak ci tam... ale nie mam dziś ani ochoty ani czasu na gry słowne.

Obróciła się na pięcie, pozostawiając go z zaskoczoną miną kogoś nieprzyzwyczajonego do tego, że mówi się mu nie. Nie zrobiła tego z wyrachowania. Naprawdę się śpieszyła, bo miała do powtórzenia masę materiału przed najbliższym sprawdzianem z biologii, decydującym o ocenie na półroczu. Nazajutrz historia się powtórzyła. Z identycznym skutkiem. Kolejnego dnia nie pojawił się już w pobliżu dworca. Z pewną ulgą ruszyła w stronę domu.

W sobotę, zaraz po śniadaniu, wybrała się do schroniska. Mieściło się ono na skraju miasta, odgródzone odeń niewielkim brzoźowym laskiem, przez który prowadziła gruntowa droga ze śliską nawierzchnią po przejeździe pługa śnieżnego. Psy, którymi się opiekowała, przywitały ją radosnym jazgotem. Kilka godzin zajęły jej rutynowe czynności pielęgnacyjne i zabawa z dwójką ulubieńców: Kosmą i Damianem, jak ich sama nazwała, gdy jako szczenięta trafiły tu za sprawą pani, która jadąc zdążyła wyhamować, gdy biegły skrajem jezdni, porzucone gdzieś poza miastem.

A jednak nie dał za wygraną. Natknęła się nań, gdy wracając ze schroniska, dotarła do swego bloku.

- Czego ty ode mnie chcesz?

- O! - z szelmowskim uśmiechem zaakcentował ten swój okrzyk podniesieniem palca wskazującego. - Dlaczego nie zapytałaś o to poprzednim razem!? Nie musiałbym dokonywać wywiadu środowiskowego, żeby móc cię znaleźć i na nie odpowiedzieć.

- Więc...

- Chciałbym, żebyś poszła ze mną na studniówkę. Ja bardzo ocen' very please!

- Tomek! - udało jej się ukryć zaskoczenie. - Wyglądasz na inteligentnego, choć może się myłę. Jeśli dwa razy dałam ci do zrozumienia, że widywanie się

z tobą mnie nie interesuje, to... – nie dał jej skończyć.

- Nata, jeśli trzeci już raz, mimo twojego naturalnego czy udawanego chłodu, nadal próbuje... – spojrzał jej w oczy i znów się uśmiechnął, ale tym razem jakoś mniej pewnie – ...to mam przewagę jednego razu!

Mimowolnie parsknęła śmiechem.

- No, więc... pójdziesz?

- Daj spokój! Zresztą prawie się nie znamy...

- Mamy na to jeszcze dwa tygodnie! Nata, przecież nie proszę cię o rękę, tylko o towarzyszenie mi ten jeden wieczór. Wiele dziewczyn z twojej budy też tam będzie, wiem od kumpli.

- Dobra, Tomek – zerknęła na zegarek. – Matka czeka z obiadem. – Odchodząc, rzuciła przez ramię – Zastanowię się.

Sama była zdziwiona, że nie dawało to jej spokoju. W niedzielny wieczór zdecydowała zwrócić się z tym do matki. Ta nie miała żadnych wątpliwości.

- W końcu choć raz zobaczę cię w sukience, bo ciągle masz na tyłku te dzinsowe wycieruchy!

Akurat ten aspekt sprawy nie wydał się jej najistotniejszy. Wątpliwości pozostały. Ola, ławkowa kumpela, była zdecydowanie przeciw. Sprawiała wrażenie, że coś musiała słyszeć o Tomku, choć przecież nie chodził do ich szkoły. O dziwo, nie chciała zdradzić źródeł ani szczegółów swej wiedzy. Może, zwyczajnie, zazdrościła jej, że to ją, Natalię, ktoś dostrzegł z renomowanej „fabryki geniuszy”?

Zdecydowała się tym razem dać odpocząć swojemu zdrowemu rozsądkowi. Kiedy jadąc do domu, oznajmiła o swej decyzji Oli, ta nie kryła zdziwienia:

- Nata, wiesz dlaczego tyle dziewczyn z naszej budy było namawianych i co gorsza zgodziły się na udział w ich imprezie? Bo krąży opinia, że te z „debilów” są ładne i łatwe... chcesz ugruntować ten pogląd?

- A ty?

- Ja nie idę. Nie jestem ładna. – Ola roześmiała się, jak to sama kiedyś określiła, „na full volume” swym charakterystycznym, przenikliwym głosem, budząc grymas na twarzy siedzącej naprzeciwko nich starszej pani. Szybko poderwały się z siedzeń, gdy tylko pociąg zaczął hamować.

Minutę później oznajmiła Tomkowi swą decyzję, gdy spotkali się przed dworcem. Uśmiechnął się na tę wieść. Miał naprawdę ładny uśmiech.

*

Kolejne dni przed studniówką zajęły jej przygotowanie odpowiedniej kreacji, w czym aktywnie uczestniczyła matka. Im bliżej było dnia imprezy, tym bardziej wzrastał w niej nieznanym jej dotąd rodzaj podniecenia. Tłumaczyła to sobie treścią, bo poza jedyną bytnością dawno już temu na dyskotece z koleżan-

kami, nie miała żadnych doświadczeń w tej materii.

Przyjechał po nią w sobotni wieczór taksówką wynajętą z postoju. Jej matka, z nienagannym makijażem, jakby to ona miała towarzyszyć Tomkowi na studniówce, usłyszawszy dzwonek, pierwsza pobiegła do drzwi. Nawet ojczym, który najczęściej unikał wszelkiego uczestnictwa w relacjach pomiędzy żoną a jej córką, zadeklarował chęć odwiedzenia jej do domu, gdyby chciała już wracać. Tomek jednak, oznajmił grzecznie, lecz stanowczo, że to jego, jak się wyraził, powinność.

Zaczął się, tradycyjnie, od parady marschieren par mieszanych w rytm Poloneza Ogińskiego. Po zakończeniu korowodu zajęli swoje miejsce przy jednym z ósmioosobowych zestawów stolików. Nie знаła nikogo z sąsiadów. Siedziała sztywno, z przyklejonym uśmiechem, za to Tomek wydawał się być w swoim żywiole – dyskutował z wszystkimi i o wszystkim, dążąc zawsze do tego, aby to jemu przyznano rację. Dwukrotnie też, w ślad za męską obsadą stolika, wychodził do toalety, skąd wracał coraz bardziej ożywiony. Poczęła odnosić wrażenie, że od chwili zakończenia części oficjalnej tego spektaklu próżności, kiedy każda para była poddana ocenie pozostałych, a ona sama stała się obiektem wielu jednoznacznych męskich spojrzeń i przyczyną zazdrości co niektórych uczestniczek, z upływem czasu, zmniejszać się zaczęło zainteresowanie Tomka jej osobą. W końcu doszło do tego, że zaproponował jej, aby zamieniła się z nim miejscami, bo nie mógł swobodnie przekomarzać się z siedzącą obok niej blondynką z wyzywającym dekoltem. Mimo, że znalazła się tutaj do końca nie będąc pewną czy ma na to ochotę, obecną „propozycję” przyjęła jak publicznie wymierzony policzek. W chwili, gdy zagrała orkiestra, wstała by opuścić tę salę i „chamskiego samoluba”, jak go teraz w myślach nazwała. Dogonił ją po kilku krokach.

- Nata, dlaczego nie odzywasz się do mnie? – trzymał ją mocno w ramionach, choć się opierała. – Staram się jak mogę, abyś się poczuła swobodnie, a ty siedzisz, jakbyś kij połknęła.

Zaniemówiła, zaskoczona jego oceną sytuacji.

- Przepraszam, jakbym coś nie tak... - zrobił krok do tyłu, lekko dotykając dłoni. - Lepiej zatańczmy.

Uległa. Tańczyła, zachowując jednak dystans, pomimo jego prób zbliżenia. Kiedy skończyli grać, zaprowadził ją do stolika, trzymając za rękę. Już siedząc pochylił się ku niej. Poczuła woń alkoholu.

- Piłeś?!

- A ty nie? - spojrzał na nią z wyraźnym zdziwieniem. - Dziewczyny też w swojej toalecie to robią, nie wiedziałaś?

Wydekoltowana blondynka, siedząca obok niej, musiała usłyszeć ich rozmowę, bo zaproponowała jej „spacer do toalety”. Zawahała się przez moment. „A

co mi tam” - pomyślała. Butelka i dwie szklanki stały na półeczce nad spłuczką w ostatniej kabinie. Z alkoholem nie miała raczej dotychczas styczności. Z rzadka biorąc udział w równie rzadkich rodzinnych imprezach nie próbowała go, najpierw z racji wieku, potem z braku chęci. Tylko raz zrobiła wyjątek – na osiemdziesiąte urodziny ukochanej babci Julii – a i wtedy była to tylko lampka czerwonego wina. Nic więc dziwnego, że wypita whisky szybko zaczęła działać. Na salę wróciła w znacznie lepszym humorze. Potem były kolejne serie taneczne z Tomkiem, przepłatane kolejnymi wypadami do toalety. Świat zaczął wirować wraz z nią, teraz już przyklejoną do Tomka. Po północy zaczęła odczuwać nieprzyjemne zawroty głowy. Dyskretnie podtrzymywana przez Tomka, niepewnie wyszła z sali, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Tomek opuścił ją na moment, po czym wrócił z jej kurtką i narzucił jej na ramiona. Zawroty nie ustępowały. Musiała się na nim wesprzeć. Poczowała dotyk jego ust na szyi, lecz nie miała siły, żeby zaprotestować.

- Przejdźmy się – powiedział, obejmując ją w pół. - To ci dobrze zrobi.

Ruszyła z lekko płaczącymi się nogami. Doszli do wąskiej uliczki z odrapanymi i pozbawionymi w znacznej mierze tynku, czynszowymi kamieniczkami.

- Widzę, że zmarzłaś – zaczął chuchać w jej zziębnięte palce. - Wejdźmy na chwilę do jakiejś klatki schodowej, ogrzeję cię.

Nie oponowała. Dwuskrzydłowe stare drzwi były otwarte. Po wejściu do mrocznego wnętrza straciła kontakt z rzeczywistością. Pomyślała, że na sali zgasło światło, gdy tańczyła z Tomkiem, bo ten wciąż trzymał ją w ramionach. Czowała za plecami opór, bo przycisnął ją jedną ręką do ściany. Całując jej szyję, wolną rękę włożył w wycięcie dekoltu. Starła się go odepchnąć, walcząc jednocześnie z mdłościami. Była na tyle osłabiona, że nie potrafiła głośno krzyknąć: „przestań!”. To go jeszcze bardziej podnieciło. Ręka powędrowała do strin-gów. Odruchowo przesunęła ciało w dół, kurczowo zaciskając uda. Był od niej znacznie silniejszy. Obie jej ręce wcisnął pomiędzy ścianę a jej plecy i zablokował własnym ciałem, tak że stała się bezbronna. Uchwycił rąbek długiej sukni i zarzucił jej na głowę. Oslepiona, zaczęła przeraźliwie piszczeć. Uderzył ją przez cienki jedwab sukni w twarz. Zaskowityła z bólu spotęgowanego strachem.

- Nie drzyj się, mówiłem, że ci zrobię dobrze – siłą zsunął jej majtki poniżej kolan, jednocześnie wolną ręką rozpinając rozporek. - Ja zawsze dotrzymuję słowa. Poczowała ostry ból w kroczu, a potem uderzenia jego bioder o swoje podbrzusze i to coś, co jak wąż wślizgiwało się w nią samą. Po twarzy pociekły jej łzy, moczając dół sukni, zarzucony jej na głowę.

- Ty, ty świniol! - zdołała wydusić z siebie, gdy odstał od niej.

- I co, mówiłem, że będzie ciepło! Wracajmy na salę! - chwycił ją za rękaw. - Możemy to sobie jeszcze dziś na koniec powtórzyć. To tylko pierwszy raz może być trochę bolesny i stresujący. Polubisz to.

Wyrwała mu się i z płaczem pobiegła w głąb ulicy. Coś za nią wołał, lecz zaniechał pościgu. Po pół godzinie wróciła do domu.

*

Sprawę w swoje ręce przejął jej ojczym. To on otworzył jej drzwi, gdy roztrzęsiona, z trudem trafiając na przycisk, zadzwoniła, by jej otworzono. Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby prawidłowo ocenić sytuację.

- Jedziemy do szpitala – krzyknął do wychodzącej z pokoju matki Natalii.

Dyżurny lekarz dokonał obdukcji, po czym, po krótkiej rozmowie ze zszokowaną wciąż dziewczyną, polecił dyżurnej pielęgniarkie zadzwonić na policję.

Termin procesu wyznaczono szybko, tak, że wyrok zapadł pod koniec Wielkiego Postu. Art. 197 KK przewidywał rozmiar kary od 2 do 10 lat. Orzeczono dwa lata – bez zawieszenia. Nie było jej na sali podczas procesu i przy ogłoszeniu wyroku. Nie było jej w mieście, gdzie została matka z ojczymem. Przygarnęła ją litościwie siostra ojca, Agata, rozwiedziona od kilku lat, co stawało się w tej rodzinie zjawiskiem niemal naturalnym. Tu, w Białej, korzystając z pomocy psychologów, z trudem przychodziła do siebie, jakoś skończyła liceum, po czym zdawszy egzaminy na Wydział Weterynaryjny Akademii Rolniczo-Technicznej, podziękowała ciotce za ponad roczną przechowalnię i przeniosła się do Olsztyna. Na pożegnanie ciotka Agata przekazała jej słowa pociechy:

- Dobrze, dziewczyno, że nie zaszłaś z tego w ciążę. Przynajmniej jesteś bez balastu, wolna jak ptak.

Ona wiedziała swoje: życie nie daje o sobie zapomnieć.

*

Studia minęły monotonnie i bezproblemowo, zwłaszcza zabiegi chirurgiczne, dzięki darowi manualnemu, jak to nazywała babcia Julia, przychodziły jej z łatwością, zbierając pochwały z ust wykładowcy. Po otrzymaniu dyplomu, szybko znalazła zatrudnienie w małomiasteczkowej przychodni weterynaryjnej. Tu znalazła spokój i zajęcie przy miłych jej sercu zwierzętach.

Siedząc teraz w wygodnym fotelu, z głową na jego oparciu, wsłuchując się w świszczący oddech tego z naprzeciwka, przypomniła sobie jego słowa na zakończenie pierwszego, dyskotekowego ich spotkania: "Nie uciekaj, odnajdę cię" – dziś nabrały one nowego znaczenia.

Wracała po odebraniu dość skomplikowanego porodu cielaka w pobliskiej wsi. Trochę to potrwało, nim powitał nowy świat. Jechała polną drogą, która wiodła, przez młody zagajnik i przyrzeczne łąki, pocięte bruzdami zakrzaczonych rowów, do drogi powiatowej, prowadzącej do jej miasteczka. Mijała właśnie ścianę lasu, gdy kierownica wykonała sus w lewą stronę, by natychmiast odbić w drugą stronę. Auto zrobiło dziwaczny zygzak, lecz utrzymała je w ryzach, zdejmując nogę z pedału gazu i delikatnie hamując. Przystanęła na środku drogi i wyszła z wozu. Zmierzchało dość wcześnie, jak to późną jesienią. No tak –

pomyślała – jak pech to do kwadratu. Powietrze schodziło z obu kół po stronie kierowcy. W obu oponach tkwiły siodełkowo pozaginane czterocalowe gwoździe. Spojrzała poza auto. Metr dalej, częściowo wystając z gruntowej nawierzchni, wychynęły dwa kolejne. Podniosła z sąsiedniego siedzenia torbę lekarską i zamknęła na klucz drzwi fiata. Wyjęła z kieszeni komórkę, ale nie było zasięgu. Zastanawiała się przez chwilę, który kierunek marszu wybrać: do wioski, z której jechała czy do drogi powiatowej. Do obu była podobna odległość. Wybrała kierunek – miasteczko. Nie uszła nawet stu kroków, gdy od wsi zbliżać się zaczęło jakieś auto. Pojazd zatrzymał się przy jej samochodzie; kierowca wysiadł i obszedł dookoła jej fiata. Zauważył z pewnością przyczynę postoju porzuconego auta, bo siadł za kierownicą i ruszył w jej stronę. Machnęła ręką, gdy się zbliżył. Zwolnił, podjeżdżając do niej, pochyliła się, gdy otwierał okno. Mimo zmroku rozpoznała go, lecz nim zdążyła się wycofać, złapała za włosy i wciągnął jej głowę do środka, równocześnie przyciskiem podnosząc szybę w drzwiach. Znalazła się w potrzasku.

- A nie mówiłem, że cię znajdę! – włosy na głowie miał dokładnie wygolone, sporo przytył, ale uśmiech był ten sam. – Dzięki za te dwa lata na państwowym wikcie. Pamiętasz, na studniówce wspomniałem, że zrobimy to drugi raz i to ci się spodoba – poklepał ją po policzku i wysiadł drzwiami od strony pasażera. Obszedł dookoła swoją toyotę i stanął za nią. Zablokował wszystkie drzwi. Machała rozpaczliwie rękami, lecz przestała, gdy rant szyby zaczął jej się wrzynać w skórę szyi. Powoli rozpiął guzik i błyskawiczny zamek, podtrzymujący spodnie na jej biodrach. Przyszła kolej na jej bieliznę. Gdy uporał się z nią, klepnął ją w pośladki. „Wyluzuj i rozstaw kolana – klepnął po raz drugi, tym razem mocniej. – Mnie będzie łatwiej, a tobie przyjemniej. A oto przecież chodzi, kochana Nato – donosicielko?! Gdyby i dziś nie było pełnej satysfakcji, to moja wdzięczność za tamto jest tak wielka, że zawsze będę gotów na replay!” Zacisnęła zęby, przeklinając własną głupotę. Mogła się od razu domyśleć, widząc te gwoździe, że ktoś zadał sobie trud, by tam właśnie je umieścić, że wykonano to nieprzypadkowo, właśnie w tym czasie, gdy była w tej wiosce i tędy tylko mogła wracać. Czują go teraz za sobą i w sobie, ale nie wydała żadnego dźwięku. „Niech to się wreszcie skończy! To musi się skończyć, musi!” Czują ucisk na tętnicy szyjnej. Bała się, że szyba może ją przeciąć i wywołać krwotok. Posłyszała jego przyspieszony, urywany oddech. Nacisk na biodra zwiększył się; wypuściła z płuc powietrze, aby zminimalizować obwód szyi, chroniąc ją przed skaleczeniem. W tym momencie poczuła na udach spływające wilgotne strużki. Uwolnił ją od swego ciężaru. Zamki drzwi zostały odblokowane. Po chwili pojawił się w zasięgu jej wzroku. Ze schowka wyjął jednorazówkę, wytarł nią członek i zapiął spodnie. Przyciskiem opuścił więzującą ją szybę.

- No i co Natuniu, podobało się?

- Daj mi też chusteczkę – wyciągnęła rękę. Podał jej z wyćwiczonym uprzejmym uśmiechem. Doprowadziła się do porządku.

- I co, teraz też pójdziesz poskarżyć się panu policjantowi?

- Taki jesteś twardziel! Nie, nikomu się nie będę skarżyć, jestem Natalia a nie Nata. A ty jesteś tchórzliwy dupek, co potrafi z kobietą tylko z zaskoczenia! Mieszkam sama. Ciekawe, czy będziesz w stanie to powtórzyć, gdy to ja będę ustalała reguły, ty... macho – pogardliwie wydeła wargi, siadając w fotelu obok.

- No jazda, Tomuś!

Ruszył, nie patrząc na nią. Nie odezwała się ani razu, ale trafił bezbłędnie pod dom w którym teraz mieszkała. Oczywiście, musiał ją od jakiegoś już czasu śledzić. Poszła przodem, niosąc torbę lekarską. Po wejściu wprowadziła go do salonu, sama zaś udała się do kuchni i nastawiła wodę na kawę. Włączył telewizor. Gdy weszła z tacą, oglądał jakiś mecz. Postawiła przed nim kubek i usiadła obok. Przez kilka minut patrzyli nie odzywając się do siebie. Zaproponowała mu koniak. Zgodził się, ale tylko na troszeczkę, bo przecież jest autem. Zaśmiała się.

- Przecież możesz przenoćować u mnie, mój macho! – podeszła do kredensu.

- Mam pytanie: dlaczego to właśnie mnie zaproponowałeś towarzyszenie ci w studniówce?

Milczał. Gdy obróciła się do niego, leżał na brzegu tapczanu. Środek nasenny zadziałał.

Z przyniesionej torby wyjęła potrzebne narzędzia, zdezynfekowała je. Rozłożyła na blacie stolika. Ułożyła go odpowiednio na tapczanie, potem ściągnęła w dół spodnie wraz z majtkami. Niech to się wreszcie skończy – pomyślała, wstrzykując mu 150 mg ketaminy; nie mogła przecież dopuścić, by obudził się w trakcie zabiegu.

- To się musi skończyć – powtórzyła na głos. – Musi!

I NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

KAROL GRACZYK

SAKRAMENTY

Trzeba było poświęcić sporo czasu i zdrowia (pieniądze nie grają roli), żeby odciąć się od korzeni, od schematu. Młodzieńczy bunt kazał się go wystrzec za wszelką cenę. Za cenę prób, błędów i kłótni.

Nowoczesność pędzi zbyt szybko, żeby nie oderwać się od momentu startu, więc trzeba spróbować wyprzedzić i ją.

Z czasem zadyszka bierze górę, wtedy przestajemy myśleć, zaczynamy robić. Wszystko się miesza, jak pranie w bębnie

starej pralki. Życie zdaje się być okrągłe, bo kiedy odeszliśmy już pod sam biegun, żeby się odsunąć i zrobić po swojemu, żeby nie powielić schematu rodziców, stajemy w tym samym miejscu. Teraz myślimy tylko o tym, żeby wejść w ich role.

ŚWIĘTOŚĆ

Kiedy w końcu zasiadam w fotelu ze szklanką whisky,
mniej żeby ją pić, bardziej – celebrować po przydługim,
udanym dniu w pracy – słyszę głośne pukanie do drzwi.

Pukają, bo podobno ktoś dał im prawo, żeby zapukali.
Ale moim prawem jest nie wpuścić ich do domu
i kiedy o tym myślę – oni już są w środku, pakują rzeczy

zdjęte z moich półek w czarne walizki i pozółkłe teczki
i każą wychodzić, bo na mocy prawa, które sobie przyznali,
mogą mi rozkazać, czego tylko pragną, lecz wiem doskonale,

że nie tak działa prawo. Będziemy się bić. Będziemy się mordować.

NADLATUJĄ PTAKI

Od kilku dni znowu nic się nie dzieje. Zapominam o tobie, ty o mnie, pewnie za kilka dni znowu sobie przypomnimy. Na chwilę. Będzie wtedy lepiej niż wczoraj i gorzej niż kiedyś.

Często się zastanawiam, czy właśnie w tym domu chciałbym, żebyś była i czy ty zawsze chcesz wejść w te same drzwi, na których doskonale znasz każdą niezmywalną plamę.

Powtórzę: tych plam nie da się już zetrzeć. A przecież nawet drzwi czasem zmieniamy w naszych domach. Może one są ważniejsze od ludzi, może to tylko substytut

zmiany. Kiedy już trzymam w ręku klucz, by przekroczyć próg, nastaje dzień. Ten lepszy niż wczoraj. Zapominam o kiedyś i wiem, że jeśli żadne inne kiedyś nie mogło być lepsze,

to i żadne dzisiaj lepsze być nie może. Minęła zima, nadlatują ptaki.

DYM

Od kilku lat ciągle stoisz za dymem papierosa,
choć żadne z nas nie pali. Taki jest krajobraz,
kiedy śpię, a ty pojawiaasz się czysta i świeża.

Od kilku lat ciągle stoisz za dymem papierosa.
Kiedy paliłem, nigdy nie zbliżyłem się bardziej,
niż ostatniej nocy, kiedy byłem w szycie fazy rem.

Od kilku lat ciągle stoisz za dymem papierosa,
i może gdybyś się zbliżyła nie byłabyś tym, kim jesteś,
choć nic innego nie zdołało cię zmienić przez te lata.

Od kilku lat ciągle stoisz za dymem papierosa.
Będiesz tu stała, będę tu stał, gdziekolwiek pójdziemy,
więc odchodzę spokojnie i choćbym nie palił, zapalę.

II NAGRODA
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

DOROTA RYST

WIERSZ O ŻYCIU

tym razem będzie o życiu. nic o umieraniu. znów
piję kawę w obcym mieście i wyobrażam sobie brzask
gdzie indziej. to miasto nic dla mnie nie ma. obojętnie przechodzi
obok w swoim porannym rytmie. fotografuję ratusz fontannę
i kolejny pomnik. z daleka widać moją nietutejszość. otwiera się

pierwsza kawiarnia. na chwilę zapominam że nie lubię
sieciovek. latte czy cappuccino croissant czy jogurt. wybory
w sam raz na tę porę. coś ode mnie zależy. należy
natychmiast pokazać to urbi et orbi. kawa z ratuszem w tle
zbierze więcej lajków niż post o zbawieniu

świata. słoneczny poranek pachnie jesienią i spalinami.
stopy bez znajomej faktury klepek zaczynają błędzić. pisk
opon. wiersz o życiu musi skończyć się śmiercią.

SŁOWO NA NIEDZIELE

nie poprawiaj. nie dopisuj ogonka do e. to nie chodzi o tę jedną
ostatnią. i nie o pierwszą. wszystkie leżą gdzieś pomiędzy. dostaje
maila Dorota sprawdź ofertę na termalną jesień. czytam

terminalną. wieje chłodem. a był sierpień, pogoda
prześliczna. próbuję znaleźć choćby jeden powód
więcej żeby jutro wstać niż poranna kawa. tylko ta pierwsza

się liczy. druga nigdy nie smakuje tak dobrze. słowa stygną
drapią w gardle.

ZAPOMINANIE

Jedziemy zapominać. Zapomina się najlepiej w „Kameralnej”
Leopold Tyrmand, Zły

miasto moje, śnie niedośniony. najpierw znikają
knajpy. zaraz potem ludzie. najdłużej trwa dym
z papierosów zapach perfum powidok czerwieni

warg które szeptały zaklęcia. klątwy. przekleństwa
to jedyne czego zawsze w bród. najtrudniej zapomnieć
pamięć. temperatura rośnie. coraz trudniej oddychać.
z tej ciszy będzie deszcz.

PODRÓBKİ

upał. może ostatni tego lata. w metrze
facet w koszulce trzeciej świeżości z napisem
let it snow chłodzi skuteczniej niż coca-cola. chociaż
to na pewno nie jest to. nawet nie może tego

zastąpić. tłok. w słuchawkach tori amos
śpiewa strange little girl where are you going?
wszystkie dziewczynki udają że są duże i zbyt zajęte
by odpowiadać na pytania. na ruchomych schodach
wybierają zawsze lewą stronę. bynajmniej nie od serca.

bar przy stacji metra oferuje płucka na kwaśno
i cynaderki.

III NAGRODA

NATALIA ZALESIŃSKA

PRĘGA

Ciemność i jasność dzieli niebo. Nad głową rzeka
poszarpanych chmur z obrazów prerafaelitów. Odgłosy.
Niedawno, drogą obok jechał ciągnik, mignęły kule siana.

Niedawno na hałdzie rozkopywałam kamienie, węgiel –
szukałam ziemnych grzebuszek. Popołudniami śledziłam:
pływy nartników, trzepot motyla w słoiku. Gołębiarze

wozili na wózkach klatki. Pokój odbity w oknie.
W śnie zakrwawiona twarz ojca, w szpitalu przewiązane oczy.
Wszystko przypomina się dokładnie, gdy czytam

wiadomość na smartfonie: niewidzialne znaki mogą zaważyć
na twoim życiu, wyślij MAG na podaną stronę. Trzy dni
bezpłatnie, dni zmartwychwstania.

ALFA

I

Nie mogę się napatrzeć na rozgwieźdzone niebo,
deszcz meteorytów w tle nocnych świateł samolotów,
gdy palimy ogniska czy grillujemy. Chłód
dobiera się do kości, komary do dobrej jeszcze krwi.
Kęs kielbasy, pieczonego chleba, by czuć.

Wtedy przypominam sobie wywiad Hermaszewskiego.
Powiedział, że w kosmosie czuć Jego obecność,
dlatego tylu radzieckich astronautów odmieniło życie.

II

Zrób to sam, bo każdy może zrobić kometę:
trochę piachu, kamieni, wody, i zmrozić.

IMPRESJA

Po wyjściu z samochodu owiało nas,
przytuliła wilgoć. Wróciliśmy tu, gdzie byliśmy
wiele lat temu. Jezioro szarością styka się z niebem,

wabi głosem kaczek. Nie ma już molo,
kołyszą się łodzie. Na żelaznej bramie
wiszą ciężkie łańcuchy, kłódki.

Z daleka majaczy ptasia wyspa.

WIDOCZNOŚĆ

Po zboczu schodzi stado saren, gdzie dzikie róże,
splątane tarniny, gnijące szyszki chmielu. Za chwilę
promienie ogrzeją zmrożoną trawę, zasrebrzą
bransolety. Na północy słup wysokiego napięcia,
czerwone dachy, pod którymi w snach dowiemy się o śmierci
tych, którzy jeszcze żyją. Mgła napłynie od lasu,

posiądzie okolicę.

I NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

GRZEGORZ MARIA POZIMKA

RUSKA

Od paru dni zamiast wychodzić do szkoły przed godziną ósmą wychodziliśmy z domów już przed siódmą. Ubrani w ciepłe jesionki na watolinie i ze śniadaniem w torbie biegliśmy jak najszybciej na ulicę Dzierżyńskiego, przez którą przejeżdżały wszystkie pojazdy z Poznania do Torunia i dalej na Malbork lub na Olsztyn. Więc od paru dni biegaliśmy na tę ulicę, przy której mieściła się nasza szkoła, by przyglądać się czołgom i wozom pancernym powracającym z Czechosłowacji do Królewca, mówili starsi ludzie z posępnymi minami, młodsi prostowali z uśmiechem, że do Kaliningradu. Po raz pierwszy w życiu widzieliśmy prawdziwe czołgi i wozy pancerne, i to w dodatku z czerwoną gwiazdą na korpusach. Na niektórych czołgach pancerniacy z ogolonymi głowami siedzieli na maskach obojętnie patrząc na szarą ulicę z jeszcze bardziej szarymi domami. Nie zauważali nas – małej grupki chłopców ciekawie przyglądających się pojazdom, które znaleźmy do tej pory z filmów polskich i radzieckich. Nie mieli nic z bohaterów filmowych, czy też z tamtych żołnierzy znanych nam z filmów dokumentalnych, czy też kronik filmowych. Nikt nie wychodził im na spotkanie oprócz naszej grupki chłopców ze Szkoły Podstawowej nr 2, paru gapiów, którzy zatrzymali się, by po przejechaniu kolumny przejść wreszcie na drugą stronę ulicy oraz jednej starszej kobiety ubranej zawsze na biało, no może kiedyś to był biały kolor teraz też szarzał. Ludzie mówili, że to Ruska. Przychodziła codziennie rano, jak my i płakała, lecz nie były to takie same łzy, jak na kronikach filmowych u starszych kobiet, które płacząc witały żołnierzy wyzwolicieli. Ta kobieta płakała, a my widząc, że ona płacze stawaliśmy się na chwilę smutni, by po chwili znów zaciekawionym wzrokiem patrzeć na oddalające się z turkotem gaśienice pojazdów. O ósmej ostatni czołg z czterocyfrowym numerem zamykał żelazną kolumnę. Nadchodziła cisza. Ziemia przestawała drżeć. Ludzie wreszcie się ruszyli przechodząc na drugą stronę ulicy. Ruch rozjaśniał ulicę do następnego ranka.

Przychodziliśmy codziennie, ale pewnego poranka, jak żeśmy przybiegli zobaczyć czołgi, zobaczyliśmy szarą ulicę, po której przejechała jakaś dostawcza furgonetka, raz na godzinę autobus, a ludzie swobodnie przechodzili przez jezdnię. Następnego dnia też nie jechały i później też nie. Byliśmy zawiedzeni, ale nikt nie mógł nam odpowiedzieć, czy jeszcze pojedą. A Biała Dama, tak żeśmy

nazwali Ruską, także codziennie przychodziła i czekała, do ósmej.

Od tamtego czasu zaczęliśmy mówić jej dzień dobry, chociaż od wielu lat mieszkała na naszej ulicy, a właściwie mieszkała tu już przed naszym urodzeniem. Ludzie mówili, że jest dziedziczką z Podola i nikt nie kłaniał się jej uważając, że i ona jest winna ubóstwa jakie nas otacza. Została przywieziona z małym tobołkiem ze wschodu i wprowadzona do jednego pokoju na parterze od podwórza w czynszowej kamienicy przy starej rzeźni. Okno z jej pokoju wychodziło akurat na mурowany śmietnik, do którego wrzucano śmieci i pożywienie do wszystkich stworzeń mieszkających w nim. My mali pancerniaczy prowadziliśmy wojnę ze wszystkimi stworzeniami zamieszkującymi obwarowany śmietnik. Ale żywotność populacji była wyjątkowo odporna, bo co żeśmy wybili wszystkie osobniki, tak nam się w każdym razie wydawało, po jakimś czasie pojawiały się cwańsze, których zniszczyć poprzednią metodą było już niemożliwe. Siedzieliśmy nieraz na śmietniku czekając wypadu nieprzyjaciela, więc okno pokoju Ruski było nam dobrze znane. Nigdy nie było otwarte, a wewnątrz mieszkania na parapecie stał pnący kwiat, który zarósł całe okno. Wydawało nam się, że za tym oknem jest ciemno i ponuro, i gdybyśmy nie widzieli wchodzącej tam Białej Damy moglibyśmy myśleć, że nikt tam nie mieszka. Oczywiście przerażała nas ta kobieta, o której mówiono różne rzeczy. Ludzie mówili i ją omijali, i ona omijała ludzi.

Wiosną znów siedzieliśmy na śmietniku czekając na nasze ofiary, gdy niespodziewanie po raz pierwszy w drzwiach na podwórze stanęła ona. Po raz pierwszy powiedziała do nas coś więcej niż dzień dobry.

- Dzień dobry młodzieńcy - powiedziała do nas jakimś dziwnym miękkim głosem przeciągając końcówki - Czy moglibyście pomóc mi w przesunięciu komódki? - spytała się nas czterech chłopców dziewięciu -, a nawet już dziesięcioletnich zapraszając do środka.

W jej pokoju panował półmrok siedzący na starych, stylowych meblach, podniszczonych czy to w czasie przeprowadzki, czy długiego użytkowania. Kanapa i fotele były przykryte pożółkłymi prześcieradłami. Trochę światła wpadało przez zarośnięte kwiatem okno, ale nie budziło ze snu staroci. Część pokoju była ogrodzona starym, kiedyś kolorowym parawanem, za którym mogliśmy dostrzec wiadro z wodą, którą przynosiła z korytarza, ale chyba tylko nocą, gdyż nikt nie widział jej idącą z wodą, ani z wiadrem do kanalizacji na podwórzu.

- To ta komódka - wskazała nam nie za wysoki mebel stojący pod ścianą ze śmieszными ozdobami i wygiętymi nóżkami - Kiedy czyściłam obrazek gwóźdź wyleciał ze ściany i obrazek wpadł mi za komódkę. Weźcie dwóch z tej strony i dwóch z tej i przesuniecie. Tylko uważajcie na swoje ręce.

- Pani ja ją sam przesunę - wyrwał się Roman z nas wszystkich najsilniej-

szy, próbując sam ją przesunąć z lewej strony.

- Ostrożnie młodzieńcze, to jest dąb i sam nie dasz rady, a możesz uszkodzić mebel i siebie.

Odsunęliśmy komódkę i sięgnęliśmy obrazek. Był to biały orzeł z koroną na czerwonym tle. Biała Dama uśmiechnęła się biorąc go w dłonie i ucałowała jak najświętszą relikwię. Zdziwiła nas jej czułość do obrazka i to nie świętego.

- Od kiedy orły noszą koronę? - spytał Roman z taką samą ironią w głosie, jak kiedyś nauczycielka mówiąc o godle Drugiej Rzeczypospolitej.

Biała Dama uśmiechnęła się znowu.

- Oczywiście, że orły nie noszą korony. Proszę usiądźcie na kanapie wyjaśnię wam to.

Usiedliśmy, a ona wyciągnęła z biblioteczki zza zakurzonej szyby atlas oprawiony w zniszczoną skórę i usiadła na fotelu naprzeciwko nas. Na każdej stronie znajdowała się kolorowa mapa innego kraju z jego flagą i godłem. Z takiego atlasu można byłoby się uczyć.

- Zobaczcie, każdy kraj - mówiła pokazując dwoma palcami - ma swoje godło państwowe. Młodzieńcze - zwróciła się do mnie, gdyż siedziałem na brzegu kanapy - weź wstań i przekręć włącznik, na czytanie jest za ciemno. O, dobrze - powiedziała, gdy zabłyśła jedna żarówka nad nami w kłoszu z materiału zmieniając tylko barwę mroku na kolor beżowo-brązowy - Spójrzcie - mówiła - na godła różnych państw.

Pokazywała nam godła z koronowanymi orłami, z koronowanymi lwami, z gwiazdami różnokolorowymi, z półksiężycem i kłosami omawiając każde godło wskazywane przez nas.

- O nasza flaga - pokazali koledzy siedzący naprzeciw atlasu.

- Tylko odwrotnie - powiedziała - To jest flaga czerwono-biała Indonezji. Zobaczcie jej godło.

- Orzeł, ale złoty - powiedziałem.

- Tak to orzeł i złoty, i z koroną, i z tarczą na sercu symbolami tego kraju. I nikomu to nie przeszkadza - ostanie zdanie powiedziała rozżalonym głosem.

Kiedy wychodziliśmy zauważyliśmy na ścianie nad kanapą dużych rozmiarów obraz przedstawiający Tadeusza Kościuszkę, co nas zdziwiło, w naturalnej wielkości, w generalskim mundurze z 1794 roku. Wszyscy powiedzieliśmy razem.

- Tadeusz Kościuszko.

Biała dama znów się uśmiechnęła, ale tym razem z sympatią.

- Cieszę się, że go znacie - a kiedy byliśmy już w drzwiach dodała - Jeżeli chcecie przyjdźcie też jutro o tej samej porze.

Chodziliśmy codziennie po południu zamiast na śmietnik do niej do pokoju. Teraz zawsze czekał na nas deser.

- Legumina, spróbujcie - zachęcała.

Nie był dobry. Był wodnisty i zawsze brakowało mu czegoś, żeby był smaczny, na pewno cukru, ale że w wieku dziesięciu lat wszystko się jada więc i my zawsze wszystko zjadaliśmy, tym bardziej, że porcja była mała. A ona zapewne przekonana, że nam smakuje na drugi dzień przygotowywała takie same wodniste porcje.

- Przyszykowałam leguminę na wasze przyjęcie - mówiła następnym razem, kiedy żeśmy przychodzili, wskazywała na porcelanowe miseczki, które czekały już na nas na stole. Każda była inna, a jedna nawet wyszczerbiona. Kiedy zjadało się leguminę na dnach miseczek pojawiał się kolorowy wzór. Różniły się one od kremowych miseczek jakie mieliśmy w domach, a które mama wyciągała tylko do deseru niedzielnego.

Siadaliśmy na kanapie przykrytej poźółkłym prześcieradłem i słuchaliśmy opowieści z jej 1001 przeżytych miesięcy i historii Polski, która została za wschodnią granicą, a którą po raz pierwszy słyszeliśmy. Były to opowieści, które po długich latach milczenia Biała Dama zaczęła opowiadać, a które my po raz pierwszy żeśmy usłyszeli.

- Wielu z nas płacze w czterech ścianach za ukochanym Podolem, jak Żydzi za utraconym Jeruzalem - dodała rozpoczynając opowieść długo patrząc w okno - Mieliśmy majątek na Podolu pod Czornkowem nad rzeką Sered - mówiła otwierając przed nami wielki album oprawiony w prawdziwą skórę - To nasz dwór pozostawiony w zakolu błękitnej Sered i park od frontu z aleją modrzewiową. Do czternastego roku spędziłam tam najszcześniejsze lata. Kiedy w 1914 roku wybuchła światowa wojna mój brat i mój narzeczony zostali zmobilizowani do armii austriacko-węgierskiej by walczyć przeciw Rosji.

- A nie przeciw Niemcom? - ktoś z nas zapytał.

- Wtedy Rosja, Austria i Niemcy byli naszymi wrogami - kontynuowała zaczęta opowieść - Na szczęście nas Polaków wszystkie te trzy państwa zaborcze stanęły do wojny przeciwko sobie, a nasze nieszczęście to to, że w ich armiach walczyli Polacy dla zaborców przeciwko sobie - znów patrzyła długo w okno.

- Dwa lata później mój brat z moim narzeczonym, ominęła ich wtedy kula, znaleźli się w legionach Józefa Piłsudskiego - przewróciła kartkę albumu pokazując ich fotografię już w polskich mundurach z 1916 roku - Ja z siostrą szyłyśmy opatrunki higieniczne dla wszystkich żołnierzy, którzy przechodzili przez Czornków. Najpierw byli Austriacy, potem Rosjanie, a potem znów Austriacy z Niemcami, aż wreszcie Polacy i Rusini - Rusini - powiedziała cicho drżącym głosem przygryzając górną wargę, jakby powiedziała o jedno słowo za dużo.

- Wojna się dla nas nie skończyła w 1918 roku, Rusini też chcieli mieć swój kraj. Później szli pierwszy raz bolszewicy z czerwonymi sztandarami i z powrotem, na koniec przyszło wojsko polskie. Mieliśmy wolną Polskę, ale już

nie było tak, jak przed 1914-tym. Wysłałam za mąż za odznaczonego, lecz okaleczonego legionistę, a wraz z tym spadło na mnie wiele obowiązków. W tamtym czasie tworzyliśmy polskość od podstaw. Pamiętam, moi rodzice w 1924 przekazali Rzeczypospolitej Polskiej wszystkie złote monety, ruble z Rosji carskiej i monety austriackie, a później za polskie pieniądze ojciec ufundował szkołę powszechną, małą, trzyklasową. Nie była duża, już nie byliśmy tak bogaci, jak przed wojną, chociaż wreszcie żyliśmy w wolnej ojczyźnie. Tyle przechodziło żołnierzy przez nasz majątek i konfiskowali wszystko, co było im potrzebne lub to, co chcieli: od koni i bydła po zastawy i sztucce. A i Rusini też już nie byli, jak dawniej. Patrzyli na nas Polaków smutnymi oczyma, lecz gdy byli wśród swoich ich śpiew niosła rzeka Sered daleko, daleko...

Przewracała karty albumu zatrzymując się na niektórych fotografiach szczegółowo opisując daną osobę przywołując ją z przeszłości. Każde zdjęcie było robione przy jakiejś ważnej okazji, jakiegoś święta obchodzonego w dworze pod Czornkowem.

- Tu jest mój brat, gdy otrzymał Krzyż Komandorski *Virtuti Militari*, a tu moja siostra też z piłsudczykiem, a tutaj ja ze swoim mężem, został ranny we Lwowie w listopadzie w 1918. A tutaj ja patrząca na pola, które zostały rozparcelowane w czasie reformy rolnej w 1937 roku. Wtedy ziemie nasze leżące za Sered dostały się w ręce chłopów ukraińskich i polskich. Staliśmy się sąsiadami. Z okna patrzyłam na nasze dawne ziemie podzielone na kilkanaście kawałków i na nowych gospodarzy nie mających nic oprócz rąk i żony, która między porodami pojawiała się na polu. Myślałam wtedy, że nie tędy droga. Jedyne co im ta urodzajna ziemia rodziła to potomstwo, które w letniej porze zapełniało brzegi Sered. A oto mój syn w marynarskim mundurku - w jej oczach pojawiły się łzy, które nie spływały - Tylko jednego go miałam... Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej został utworzony Fundusz Obrony Narodowej, zbierano dary na uzbrojenie armii. U nas w domu wszyscy mężczyźni służyli w wojsku, więc wiedzieliśmy, że nasza armia ma uzbrojenie przestarzałe i nie będzie w stanie przeciwstawić się sama żadnemu krajowi, który nastawił swój przemysł na zbrojenie. Żal było rozstawać się ze złotą biżuterią przez pokolenia zbieraną i przekazywaną z pokolenia na pokolenie, ale mężczyźni uważali, że obrona ojczyzny jest na pierwszym miejscu. Zostawiłam sobie tylko obrączkę i mały pierścionek zaręczynowy. Później, jak się okazało przydały się do wykupienia nas - pozostałych kobiet w dworku, może nawet przed śmiercią. Znowu mężczyźni zostali zmobilizowani i znowu to był sierpień. Wiedzano, że wojna wybuchnie łąda dzień, jednak nikt nie przypuszczał, że sierpniowe pożegnanie będzie naszym ostatnim, bo przecież zawsze z wojny jacyś mężczyźni do domu wracali. A z nich nikt - przerwała na chwilę, jakby minuta milczenia, lub na przełknięcie śliny

- Ostatni list od męża dostałam 20 września w 1939 roku, w którym wspominał o potyczce z Niemcami i o wycofaniu się jego dywizji na południowy wschód od Grodna, gdzie zostali internowani przez żołnierzy sowieckich, którzy w tym czasie zajmowali Podole i ziemie polskie do Bugu. Ostatni raz widziano go w obozie w Starobielsku. Nasz sąsiad Rusin, którego zwolniono z tego obozu, przyszedł nam powiedzieć, że wywieziono część oficerów ze Starobielska, ale nikt nie wiedział gdzie? – po chwili znów mówiła, a my słuchaliśmy jakby najciekawszego słuchowiska w radio – Była jesień, listopad, już śnieg spadł, kiedy przysłała decyzja o zajęciu naszego dworu przez władze sowieckie na wiejską szkołę. Całe Podole zostało dołączone do Związku Sowieckiego i na całym Podolu zaczęło panować prawo Sowietów. Zabraliśmy co nam pozwolono. Te meble co tu mam, drobiazgi co nam pozwoliły przeżyć i poszliśmy na komorne między ludzi. W czterdziestym roku moja siostra z dziećmi i szwagierka z synem zostali wywiezieni na Sybir. Ja zostałam. Moja matka była konająca, a i mój syn też już był chory. Zachowany pierścionek i obrączka uratowały nas. Dowodzący żołdatami coś zapisał i powiedział, że jak wyzdrowieją to mam dać znać do urzędu. Tyfus tej zimy zabrał tysiące ludzi. Ponownie dostałam decyzję o wywózce na dzień 22 czerwca 1941 roku. Pakowałam się nocą, a rano nadleciały samoloty z krzyżami na skrzydłach. To Niemcy zaatakowały Rosję – rzadko robiła przerwy w swoim opowiadaniu, a nawet jak przerywała to i tak żeśmy milczeli zdumieni opowieścią, jak z książki – Zimą przyszli Rusini z karabinami i wyprowadzili mnie, ale mój były sąsiad Rusin wstawił się za mną, gdyż kiedyś mój ojciec nocą posłał dla jego matki konie po lekarza. Życie za życie powiedział Rusin i wróciłam do wynajmowanego pokoju.

Nie mogliśmy uwierzyć w zwierzenia Białej Damy. Nas w szkole uczono czegoś zupełnie innego, a że uważano Ruskę powszechnie za osobę żyjącą w świecie już minionym to i nam chłopcom było trudno w te kilkudniowe opowieści uwierzyć. Dwaj koledzy powiedzieli wszystko rodzicom. Skutek był taki, że ojciec jednego z nich nazwał ją schizofreniczką i zabronił jemu chodzić z nami do niej. Temu drugiemu też zabroniono, ale nie chciał powiedzieć dla czego. Obawiając się, że i u mnie w domu też mogą mi zabronić nic nie mówiłam, a że wracałam czysty i w całych spodniach, gdyż na śmietnik już nie chodziliśmy, rodzice byli zadowoleni. Teraz chodziliśmy we dwóch do Białej Damy.

- Nie mam żalu i rozumiem – powiedziała, kiedy wyjawiliśmy jej przyczynę dla czego zostało nas tylko dwóch – Widzicie chłopcy opowiadałam wam o tym wszystkim, bo nie wiem, czy ktoś wam kiedykolwiek powie, o tym wszystkim, co wam opowiadałam. Być może kiedyś będzie się mówiło normalnie o tych sprawach i o ludziach stamtąd. Ale ktoś przecież musi to komuś przekazać. Pamiętajcie.

Opowiadała codziennie po południu swoje życie trzymając się ściśle chro-

nologii. Zawsze wszystko leżało na tym samym miejscu, a jeżeli coś było wzięte to zaraz wracało na swoje miejsce. Spotkaliśmy ją kiedyś w jedynym sklepie na naszej ulicy, kiedy płaciła za drobne zakupione rzeczy cztery złote i trzydzieści pięć groszy. Miała nawet jednogroszówki, za które nie można było nic kupić, ale już za kilkanaście coś można było dostać.

- Mój brat opuścił Rosję Sowiecką z armią Andersa, ale zmarł na febrę w Iranie. Kiedy w maju 1943 roku ogłoszono decyzję o formowaniu Armii Berlinga w Siedlcach i wydano zezwolenie na opuszczenie przez Polaków miejsc zsyłki, wtedy moja siostra i szwagierka z synami, jeszcze kilkunastoletnimi, wraz z grupą Polaków wracali w czerwcu ze Syberii. Siostra utonęła w nurtach Jenisej przy przepławianiu się przez rzekę, zaś szwagierka przedostała się do Siedlec. Życie było dla niej łaskawsze. Jej chłopcy byli za młodzi na żołdatów, nazwali ich synami pułku. Szwagierka przesłała mi fotografię, o tutaj w mundurze ze swoimi chłopcami. Mój też by miał tyle lat. Nie spotkaliśmy się już nigdy. Nie szli przez Czornków do Polski...

Ze smutkiem opowiadała, ale mieliśmy odczucie, że była szczęśliwa na swój sposób, że mogła nam to wszystko powiedzieć.

Następnego dnia pogłoski o opowieściach Białej Damy dotarły do komisarjatu milicji. Przyjechali od razu z rana w trzech Warszawą i poszli do jej pokoju. Myśmy czekali na korytarzu wraz z innymi sąsiadami nie tylko z tej kamienicy. Nie byli długo. Po wyjściu jeden milicjant powiedział do drugiego.

- Jakby mogli, to by zabronili jej oddychać.

Później poszli do naszych rodziców. Ojcowie byli w pracy, a w domu nasze mamy i ktoś z dziadków. Zapadł wyrok.

- Niech nie chodzą do niej. Proszę bardziej interesować się, co dzieci wasze robią poza domem - powiedział starszy policjant przestraszonym kobietom.

Wyrok został wykonany, zwłaszcza kiedy ma się dziesięć lat i do powiedzenia niezbyt wiele. Na śmietnik żeśmy już nie wrócili, a zresztą był już zajęty przez grupę chłopców trochę młodszych od nas, a my już coraz częściej opuszczaliśmy nasze podwórko i naszą ulicę.

Minęło kilka miesięcy i latem rozjechaliśmy się na kolonie letnie. Po powrocie zastaliśmy na drzwiach do pokoju Białej Damy kartkę z urzędową pieczęcią. Dowiedzieliśmy się, że dwa tygodnie temu sąsiadka mieszkająca obok zaniepokojona ciszą za drzwiami Ruski weszła do jej pokoju. Drzwi nie były zamknięte na klucz i znalazła ją od paru dni nieżywą. Ludzie mówili, że sąsiadka musiała się dobrze obłowić, albowiem w pokoju zmarłej nic wartościowego nie znaleziono. Nikt z kamienicy nie był na jej pogrzebie i nikt z mieszkańców nie wiedział, gdzie jest pochowana. Bo to była przecież obca. Dwa tygodnie później do tego pokoju wprowadziło się młode małżeństwo. Na śmietniku znaleźliśmy orła z koroną i obraz przedstawiający Tadeusza Kościuszkę, ale bez ramy.

II NAGRODA
RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

ALFRED SIATECKI

STARY CZŁOWIEK ROZPACZLIWIE SAMOTNY

- Czy dziś sędzia Majchrzak kontaktował się z panem przewodniczącym? – zapytała kierowniczką sekretariatu wydziału akurat w chwili, gdy się spieszyłem do sali rozpraw. – Zawsze o tej porze już był u nas, a dziś... Pomyślałam, że może wyjątkowo skontaktował się z panem i dlatego ja...

- Dziś, pani Danuto, ani nie zadzwonił, ani go tu nie widziałem. Był wczoraj. Był przedwczoraj. Był we wtorek. W poniedziałek również był. Wczoraj siedział, jak zawsze, dwie godziny. Dlatego zamiast przejrzeć te papiery wczoraj – pokazałem na teczki z aktami, które leżały na moim biurku – dziś przyszedłem wcześniej do wydziału i je przerzuciłem. – Nie przyznałem się, że zrobiłem to pobieżnie.

- Pan sędzia Majchrzak...

- Co jeszcze sędzia Majchrzak? – Denerwowała mnie tą swoją troskliwością.

- Może coś mu się stało?

- To proszę zadzwonić do niego na komórkę.

- Pan sędzia Majchrzak nie ma komórki.

- To na stacjonarny – rzuciłem i nie czekając na odpowiedź, wyszedłem do sali rozpraw przyległej do mojego gabinetu. – Teraz co innego mam na głowie, pani Danuto. W tym momencie Majchrzak mnie nie obchodzi.

Słuchałem pewnych swoich racji i skrzywdzonych. Takich, którzy szukają sprawiedliwości i takich, którzy liczą na to, że może się uda. Pozwalałem wymądrzać się adwokatom tak długo, jak tego chcieli. Nie zadawałem pytań. Wyjątkowo tego dnia nie było na wokandzie niczego, co wymagało wgrzania się w problemy. Bronilem tych bez skazy i zmayı, rozstrzygałem spory, akceptowałem prośby, nie przyznawałem racji winowajcom. Robiłem to automatycznie. Zresztą wcześniej asesor zasugerował werdykty, jakie powinienem wydać w imieniu Rzeczypospolitej.

To nieprawda, że doktor Majchrzak mnie nie obchodzi. Chciałem, żeby nie zaprzątał mi głowy. Obchodził mnie wtedy, kiedy byłem tylko sędzią i teraz obchodzi. Teraz czuję się za niego odpowiedzialny. Mój poprzednik w gabinecie

przewodniczącego, a obecnie sędzia w stanie spoczynku, nie dawał mi spokoju nawet w sali rozpraw. Każdego dnia zawsze o dziesiątej pojawiał się w sekretariacie wydziału. Był bardziej punktualny niż zegar wiszący w poczekalni sądu. Nie musiał przychodzić, ale przychodził tak jak wtedy, kiedy wydawał polecenia sędziom w wydziale cywilnym. Tyle że teraz najpierw siadał w fotelu przed biurkiem sekretarki, na kolanach kładł wytartą reklamówkę, w której miał gazety i czekał, żeby ona lub kierowniczką sekretariatu zaparzyła herbatę owocową. Innej nie pił. Potem opowiadał, kogo spotkał w drodze do sądu, kogo nie spotkał wczoraj ani przedwczoraj, a powinien spotkać. Jaką książkę zaczął czytać. Czego dowiedział się z audycji nocnej Radia Maryja, kiedy się obudził i nie mógł zasnąć. Zawsze powtarzał, że do starego człowieka sen przychodzi wczesnym wieczorem i niedługo po północy odchodzi. W nocy włączał radio nie z powodu religijności, lecz żeby poznać myśli starych słuchaczy. Po mniej więcej godzinie podnosił się i pytał sekretarkę, czy siedzę w gabinecie i mam dużo pracy. Gdyby nawet odpowiedziała, że jestem zavalony sprawami, bo jedna sędzia nagle zachorowała, druga pojechała na kurs, trzecia jest na urlopie za granicą, obaj asesory przygotowują się do egzaminu, Majchrzak wejdzie do mojego gabinetu.

Teraz do mojego. Przez nieomal ćwierć wieku to był jego gabinet. Pomimo że poprzedni prezes sądu okręgowego proponował mu przeniesienie do pokoju sędziów okręgowych albo do gabinetu prezesa sądu rejonowego, nie chciał się ruszyć ze swojego gabinetu. Kolejny prezes powtórzył propozycję. Majchrzak znowu odpowiedział, że najlepiej mu się pracuje na najniższym szczeblu. Woli rozpatrywać te na pozór najprostsze sprawy, jednak ważniejsze i trudniejsze z punktu widzenia zwyczajnych ludzi.

Mógłby dalej je rozpatrywać, gdyby nie to, że nowy prezes uznał go za starego i dlatego zbyt celnego. A gdy członkowie kolegium sędziów domagali się wyjaśnienia, powiedział, że w poufnym piśmie minister zalecił odmłodzenie wymiaru sprawiedliwości. Przewodniczący wydziału w sądzie rejonowym nie powinien mieć więcej niż czterdzieści pięć lat. Majchrzak dawno przekroczył tę granicę.

- Niedługo zaczniesz chorować. Ze zwolnienia na zwolnienie. Na starość każdy choruje. Jeśli nie serce, to rak. Prostata. Zaćma. Kręgosłup. Biodro lewe. Kolano prawe. Na coś trzeba umrzeć, prawda? Ha, ha!... Poza tym poniżej wymiaru sprawiedliwości – dorzucił prezes, gdy nikt się nie roześmiał.

- Doktor prawa. Ma ogromne doświadczenie. Każde z nas, a przede wszystkim pan, coś zawdzięcza sędziemu Majchrzakowi – przypomniawszy przedstawiciela wydziału pracy.

- W czym on chodzi? Czy sędziego, który zarabia więcej niż przeciętny obywatel nie stać na porządną garnitur, stosowną koszulę, modny aktualnie krawat,

odpowiednie buty? Uważacie, że ludzie nie dostrzegają go idącego przez miasto w tym zniszczonym płaszczu, pamiętającym nieboszczkę Modę Polską? W wypłowiałym kapeluszu z poprzedniej epoki? Ludzie nie wiedzą, że to Majchrzak? Wiedzą. Kpią, że tak ubiera się sędzia – uzasadniał swoją decyzję prezes, a ponieważ dalej nikt się nie roześmiał, głosem karnodziei dodał: – Państwo jesteście młodzi, pewnie więc nie znacie porzekadła o jajkach, które powtarzał mój profesor teorii prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Otóż jeśli w kopie jajek znajdzie się choćby jeden zbuk, to znaczy nieświeże śmierdzące jajko, nikt nie powie, że jedno jajko śmierdzi, ale że jajka śmierdzą. Wszystkie jajka.

- To, co pan z taką kaśliwością przypominał, opowiadał także mój profesor teorii prawa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Wniosek z owej retrospektywy nie powinien i najpewniej nie ma żadnego wpływu na rozstrzygnięcia podejmowane przez sędziego – w obronie Majchrzaka stanęła wiceprzewodnicząca zarządu terenowego Justitii.

- Jest niewierzący – dodał prezes przeczuwając, że wytoczone argumenty są za słabe.

- A czy ja, grekokatolik, poniżam wymiar sprawiedliwości, skoro bywam w cerkwi i świętuję Boże Narodzenie dwa tygodnie później niż prezes? – spytał przewodniczący wydziału karnego.

- Sędzia Majchrzak nie posługuje się komputerem. Nie korzysta z internetu. Nie zna angielskiego.

- Zna łacinę i biegle mówi po niemiecku.

- Niech pan doda, że nie ma samochodu i prawa jazdy oraz boi się latać samolotem.

Prezes zacisnął usta, żeby nie doszło do utarczki z przewodniczącym wydziału karnego, czego wszyscy się spodziewali. Oznajmił, że podjął decyzję.

- Z początkiem nowego roku sędzia Majchrzak przejdzie w stan spoczynku. Jego miejsce w wydziale cywilnym zajmie... - umilkł i powiódł wzrokiem po sali. Po chwili dokończył: – Kolega. – Pokazał ręką na mnie. – Wychowanek sędziego doktora Majchrzaka.

Wiceprzewodnicząca Justitii otworzyła usta, jakby miała zamiar zaprotestować przeciw wskazaniu mnie na szefa wydziału cywilnego bez konsultacji z zarządem stowarzyszenia sędziów. Od dawna się mówiło, że powinna awansować na wiceprezeskę sądu albo przewodniczącą wydziału.

- Gratuluję, kolego. Wyrażam nadzieję, że teraz pan przystąpi do naszej organizacji – rzuciła w moją stronę. Do prezesa powiedziała: – Słuszna decyzja. Właściwa osoba na właściwym miejscu.

Sędzia Majchrzak także mi pogratulował i jeszcze przed końcem roku wyniósł z gabinetu przewodniczącego to, co stanowiło jego osobistą własność, a nzebierało się tego sporo.

- Proszę traktować doktora Majchrzaka jak naszego kolegę. On nadal jest sędzią, tyle że w stanie spoczynku. W każdej chwili może zostać wezwany do pracy – wyjaśnił prezes. – Oczywiście teoretycznie. W praktyce w żadnym sądzie coś takiego jeszcze nie miało miejsca.

Niedługo później dowiedziałem się, że żona Majchrzaka ciężko zachorowała. Miesiąc w klinice, tydzień w domu. Operacja jedna. Druga. Naświetlanie. Hospicjum. Zmarła w Wielki Czwartek. Nikt spośród pracowników wydziału nie był na jej pogrzebie. Nikt nie złożył kondolencji Majchrzakowi. Wytknął mi to prezes podczas kolegium.

Przez kilka miesięcy Majchrzak nie pokazywał się w sądzie. Raz spotkałem go niedaleko osiedlowego ryneczku. Nie narzekał, nie skarżył się, nawet nie spytał, czy sobie radzę i jak mi się układa z prezesem. Niczego nie powiedział o swojej rodzinie. Nie byłem pewny, ale chyba miał syna nauczyciela, synową dentystkę i jedną czy dwie wnuczki. Dopiero ostatniego dnia lipca, gdy szykowałem się do urlopu, przyszedł do wydziału, ale nie wszedł do mojego gabinetu. Usiadł na krześle przy biurku sekretarki.

- Na emeryturze pan sędzia odmłodził! – wykrzyknęła pani Danuta, także już wdowa. Wszyscy pamiętali, że wtedy, kiedy Majchrzak zajmował gabinet przewodniczącego, ona miała bardzo dużo do powiedzenia w wydziale. I z sympatią odnosiła się do niego. Tak zachowują się te kobiety, które podziwiają wybranych mężczyzn. – Herbata, kawa?

- A może coś mocniejszego? – spytałem przekonany, że podziękuje i odmówi.

- Zapraszam do gabinetu, który pan dobrze zna, panie doktorze.

- Wolałbym, żebyś tytułował mnie sędzią – powiedział, kiedy zamknąłem drzwi i wskazałem mu nowy fotel przy nowym stoliku. Wszystko, co znajdowało się w moim gabinecie, zostało wymienione zaraz po tym, jak zostałem przewodniczącym wydziału.

Majchrzak miał na sobie wypchaną na łokciach marynarkę, tę samą, w której przychodził do sądu w zeszłym roku. Jedną z tych samych, niemodnych koszul, kupioną wiele lat temu. Ten sam krawat ze sztucznego jedwabiu z ciemną plamą pośrodku. Jedyne buty były nowe. Tak jak wtedy, gdy spotkałem go niedaleko ryneczku, nie skarżył się i nie narzekał. Pijąc herbatę, a to pytał, czy jestem zadowolony, a to, czy prezes wtyka swoje trzy grosze i mnie poucza, a to, czy pani Danuta próbuje decydować o tym, czym powinienem się zająć w pierwszej kolejności i jaki wydać wyrok.

- Nie masz za dużo czasu. Ja również. Umówiłem się z kamieniarzem. – Zrobiłem pytające oczy. On to zauważył. – Nagrobek żony jest granitowy. Zamówiłem litery z prawdziwego brązu. I, wyobraź sobie, po kilku dniach zginęły co do jednej. Ten, kto się na nie połakomił, nawet nie zostawił kropki. A kamieniarz jeszcze przed umieszczeniem liter na płycie, ostrzegwał mnie, że zginą. Nie

wierzyłem. Pomimo tylu lat pracy w sądownictwie i wieku wyszło na to, że nie znam ludzi. Że kamieniarz miał rację. Powiedział, że są tacy, którzy nie szanują świętości. Którzy w dzień chodzą po cmentarzu i tylko patrzą, gdzie nowy nagrobek. Wracają w nocy. Kradną wszystko, co wartościowe. Najlepiej kupić litery z plastiku i pomalować je farbą udającą brąz, poradził mi kamieniarz. Na plastikowe napisy nie ma amatorów. I właśnie w tej sprawie wybieram się do niego.

Westchnąłem. Nie byłem winny, ale poczułem się tak, jakbym był winny.

- Zapraszam pana za dziesięć dni - powiedziałem. - Wrócę z Balearów. Przy hiszpańskim winie opowiem panu, co widziały moje oczy.

Przyszedł w czwartek.

Tego dnia kilka minut wcześniej także przyszła moja żona. Mieliśmy razem iść po prezent dla jej starszego brata świętującego pięćdziesiąte urodziny.

- W takim razie nie przeszkadzam - cofnął się. Przy drzwiach się zatrzymał.
- Skoro jest kobieta... Lodówka, proszę pani, lodówka nie chce się zamknąć - zaczął nieporadnie. - Lodówka w kuchni. Póki żona żyła, nie zawracałem sobie głowy lodówką. Domowe sprawy mnie nie interesowały.

- Proszę zawołać fachowca.

- To stara, ale bardzo dobra lodówka. Saratow. Trochę za głośno pracuje. Wszystko, co do niej wkładałem, kiedy się zamykała, mroziła na kość. Niestety, ostatnio nie chce się zamknąć - tłumaczył. - Żona kupiła ją jeszcze wtedy, kiedy syn chodził do liceum. Leszek ma dziś... Wstyd się przyznać, że nie wiem, ile lat dokładnie ma mój syn. Jest mniej więcej w wieku pani męża.

- Wokół drzwi lodówek starego typu zbiera się woda i zamarza - powiedziała żona to, czego i ja nie wiedziałem. - Moi rodzice też mieli lodówkę marki Saratow. Pamiętam, że mama wieczorem wszystko z niej wyjmowała, okrywała kocami i potem ojciec wynosił to na balkon. Potem wyciągała wtyczkę z gniazdka. Rano lodówka była rozmrożona. Za jakiś czas to powtarzała. Tak co dwa, trzy miesiące. Latem pewnie częściej. My - pokazała na mnie - mamy lodówkę nowego typu. Rozmraża się samoczynnie.

- Moja jest sprawna, tylko to zamarzanie...

Potem powiedział, że nie radzi sobie w mieszkaniu. Listonosz przynosi rachunki za prąd, gaz, wodę, ogrzewanie, on więc płaci w terminie, żeby nikt nie miał pretensji. Ale nie wie, co do czego służy. Żona wszystko wiedziała i o wszystkim decydowała. W drodze ze szkoły, gdzie uczyła historii, robiła zakupy. Po powrocie do mieszkania gotowała, piekła, sprzątała, prała, prasowała. Nawet sama wymieniała żarówki. Każdej soboty z rana myła okna, odkurzała dywaniki i zmieniała pościel. Robiła jeszcze coś, co sprawiało, że mieszkanie było przytulne.

I na wszystko starczało jej czasu. Raz w miesiącu kupowała mu skarpetki,

koszule, chustki do nosa. Na urodziny zawsze krawat. Codziennie wieczorem wkładała do szafy ten garnitur, w którym był w sądzie i wyjmowała ten, w którym następnego dnia pójdzie do sądu. Nie zastanawiał się dlaczego akurat ten, a nie inny. Ufał jej jak dziecko. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę z tego, jaką wykonywała pracę i ile znaczyła w ich domu. On tylko zarabiał pieniądze, które ona wydawała.

- Byłem kiepskim mężem. Żona nigdy tego mi nie wytknęła. Po jej śmierci sam doszedłem do tego wniosku.

Spojrzałem na żonę. Ona to zauważyła. Uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć, że niewiele różnię się od Majchrzaka. Chyba wszyscy sędziowie są tacy sami.

- Wstyd się przyznać, ale jedynie raz samodzielnie kupiłem jej prezent urodzinowy. Było to w pierwszym roku po ślubie. Później zawsze prosiłem panią Danutę o pomoc. Pani najlepiej wie, czego oczekuje kobieta, mówiłem. Kupowała. Zawijała to w kolorowy papier, przewiązywała wstążeczką. Przyznam się pani – powiedział tylko do mojej żony – że nigdy nie wiedziałem, co się znajdowało w tych paczuszkach.

- Do sprzątania mieszkania wynajmuje pan jakąś kobietę? Kto pierze? A kto prasuje? Pewnie wnuczki przychodzą. Może synowa.

Majchrzak machnął ręką i pokręcił głową. Zrozumieliśmy oboje, że sam się tym zajmuje.

- Mógłby pan kogoś wynająć. Na pewno któraś sąsiadka zechce sobie dorobić do renty czy emerytury?

- Żeby mnie okradła? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Speszony uciekłem wzrokiem za okno.

- A gdzie się pan stołuje? – Spytałem, udając, że się z nim zgadzam.

- Każdej niedzieli synowa zaprasza mnie na obiad. No, chyba że wyjeżdża, to wtedy... Nie przepadam za tym, co gotuje. Jakies stracciatelle, gazpacho, vichyssoise. O, moja żona dobrze gotowała. Tradycyjnie i dobrze. Najsmaczniejszy był rosół z makaronem domowej roboty. Jaka pomidorówka, jaka ogórkowa, szczawiowa, żurek. – Uśmiechnął się zadowolony i zaraz cmoknął z zachwytem.

- Po obiedzie synowa podaje herbatę i coś słodkiego. Lubię słodkie. Kiedy byłem młodszy, nie lubiłem. Teraz bardzo lubię. Na starość każdy mężczyzna lubi słodczy.

- W niedziele chodzi pan na obiady do synowej. A w pozostałe dni tygodnia...?

- Sam coś pitraszę. Lubię ryby, to kupuję szproty w pomidorach. Filety z makreli w oleju. Buczki w sosie greckim. Jeszcze lepsze są w sosie pomidorowym.

- Podniósł reklamówkę i nią pomachał. Puszki wydały głuchy dźwięk.

- Żywiąc się konserwami, nabawi się pan wrzodów żołądka – ostrzegła go

moja żona, na co nie zareagował. – Robi pan dokładnie to, przed czym uprzedzają specjaliści od żywienia.

Następnego dnia znowu przyszedł punktualnie o dziesiątej. Jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak we wtorek i jak w poniedziałek najpierw usiadł przy biurku sekretarki, położył reklamówkę na kolanach, poprosił o herbatę owocową. Później wszedł do mojego gabinetu. Znowu powiedział, że przychodzi codziennie do wydziału i będzie przychodził dotąd, aż choroba go unieruchomi lub prezes sądu każe ochroniarzowi zamykać przed nim drzwi.

- Mam tak dużo czasu, że nie wiem, co z nim zrobić. Gdyby coś mnie bolało, chodziłbym do lekarzy. Tam czas szybciej leci. A mnie nic nie boli. Grypa czy przeziębienie to nie choroba. Ani razu nie wziąłem zwolnienia. Nigdy nie byłem w szpitalu jako pacjent. Nie wyjeżdżałem do sanatorium.

- Sanatoria nie są dla chorych, panie sędzio. - Zrobił pytającą minę, dlatego kontynuowałem: - Do sanatoriów jeżdżą samotni. Zagubieni. Poszukujący. Dlatego powinien pan wybrać się do Świnoujścia czy do jakiegoś Ciechocinka. Poznać tam atrakcyjną wdowę i...

Machnął ręką, nie pozwalając mi skończyć zdania.

- Żałuję, że nie nauczyłem się łowienia ryb. Nie jestem myśliwym. Nie umiem zbierać grzybów. Nie mam działki. Ja, kolego sędzio, poza tym, że znam się na prawie cywilnym, niczego nie umiem. Potrafię pisać i czytać, mam sprawne ręce i nogi, a mimo to jestem kaleką, analfabeta, kimś, kogo mój syn uważa za nieudacznika, niedojdę, nogę - wycizłał, załamując palce lewej dłoni. Czekalem, kiedy powie, że jest dupą wołową, ale pewnie jego syn wstydził się tak go określić, a to najbardziej oddawało sens tego, kim był poza sądem. - Gdybym umiał malować, rzeźbić, wyplatać koszyki, strugać świątki, majsterkować, grać na czymkolwiek, nie czułbym się samotny. Samotny i zbyteczny. Nawet nie mam psa. Co tam pies! Nie mam kota! Starsza wnuczka powiedziała, że odda mi klatkę z chomikami, młodsza żebym wziął sobie akwarium z rybkami, bo one nie mają czasu się nimi zajmować. Nie powiedziałem nie i nie powiedziałem tak. Muszę podjąć jakąś decyzję, ale jaką? - A jednak Majchrzak jest dupą wołową, pomyślałem. - Zdrowy człowiek na emeryturze, który nie ma żadnych zajęć, niczym się nie interesuje, jest nikomu niepotrzebny. Taki człowiek tylko zawadza - dodał samokrytycznie. - Niech pan powie, czy nie mam racji?

- Tyle samotnych kobiet...

- Któraż mnie zechce?

Pomyślałem, że każda wdowa zechce Majchrzaka, chociaż jest dupą wołową, pod warunkiem że pochwali się, ile dostaje emerytury i nigdy nie chorował. Pierwszą będzie pani Danuta, ale ona wcale nie ze względu na emeryturę. Jeszcze wtedy, kiedy był przewodniczącym wydziału, pani Danuta okazywała mu względy. Jakby jej to nie przeszkadzało, że Majchrzak ma wysokie czoło i jest

wyłysiały na czubku niemal białej głowy. Nosi okulary. Nie dźwiga brzucha. Chodzi niespiesznie, pochylony, jakby się zastanawiał, którą drogę wybrać, ale jeszcze nie wspiera się na lasce. Kiedyś byłby uważany za starucha, teraz jest w wieku seniorskim. Geriatrizy nazywają to okresem podeszłym. Dopiero po osiemdziesiątce będzie traktowany jak starzec.

- Dzwoniłam kilka razy. Nie odbiera telefonu – rzuciła sekretarka, gdy wróciłam z sali rozpraw do wydziału. Była zaniepokojona. – Coś u niego musiało się stać.

Już otworzyłam usta, żeby spytać, o kim mówi, gdy sobie przypomniałem, że chodzi o Majchrzaka.

- Może pani źle wybierała.

- Pani Danusia też wybierała. To samo.

- Na mnie kolej. – Zerkając na karteczkę podaną przez sekretarkę, kolejno wciskałem guziki z wypukłymi cyframi na klawiaturze przenośnego telefonu. Po kilku sekundach usłyszałem sygnał, mocniej uchwyciłem słuchawkę i czekałem. Nikt się nie odezwał. Pewnie nietrafnie wybrałem numer. Jeszcze raz, wolniej i dokładniej, wduśiłem guziki klawiatury. Słyszałem ten sam sygnał. – Nie odbiera telefonu. Może gdzieś wyszedł?

- Gdyby wyszedł od sklepu albo na pocztę, od dziesiątej już by trzy razy zdążył wrócić – powiedziała głośno i dobitnie sekretarka. – Nic, tylko coś tam się stało. Nie daj Boże, żeby...

- Starszy człowiek nie powinien być samotny – orzekła pani Danuta. – Trzeba tam kogoś posłać. Ale kogo? – Spojrzała na sekretarkę, zerknęła na mnie. – Albo zawiadomić policję.

- Gdyby pani Danusia osobiście... – zaproponowała sekretarka. – W końcu od lat pani zna sędziego i...

- I cóż z tego, że od lat znam sędziego Majchrzaka? Uważa mnie pani za starą babę, która nie ma nic innego do roboty? To chciała pani powiedzieć?

Zaskoczona tym sekretarka zaczerwieniła się i wymamrotała, że co innego miała na myśli.

- Pani sobie za dużo pozwala – zganiła ją pani Danuta.

Powiedziałem, że pójde do Majchrzaka. Nigdy nie byłem w jego mieszkaniu, nawet nie wiem, którą jest najbliżej na osiedle Piastowskie. O drogę spytam portiera albo kogoś na ulicy. I gdy wyciągnąłem rękę, żeby nacisnąć klamkę, otworzyły się drzwi. Stał w nich Majchrzak.

- Pan sędzia! – wykrzyknęła sekretarka.

- Myśmy tak się martwili. Pan przewodniczący dzwonił. Ja dzwoniłam kilka razy. Dlaczego pan sędzia nie odbierał telefonu? Już myśleliśmy, że coś się stało... Panie sędzio, tak nie wolno. Tego proszę więcej tego nie robić, bo... – pogroziła mu palcem pani Danuta.

Przygarbił się i skinał głową, jakby zapewnił ją, że to się nie powtórzy. A ja czekałem, kiedy powie, że pomimo samotności, nie jest samotny. I że są ludzie, którzy nie wymazali go z pamięci. Nie powiedział ani tego, ani tego, tylko uśmiechnął się nieznacznie.

Dopiero w moim gabinecie, kiedy sekretarka podała herbatę owocową, przyznał, że przez uchylone drzwi słyszał, jak dzwonił telefon. Nie podnosił słuchawki, ponieważ był na korytarzu razem z pozostałymi mieszkańcami bloku.

- Zawsze dwudziestego około dziewiątej listonosz przynosił emeryturę. Zawsze zapraszałem go na kieliszek naleweczki wiśniowej. On nie ma obowiązku przynoszenia pieniędzy. Mógł wrzucić awizo do skrzynki na listy i wtedy musiałbym wybrać się na pocztę. A on przynosił pieniądze. Za tę grzeczność dostawał ode mnie dziesięć złotych i częstowałem go naleweczką. To był rytuał. Dziesięć ode mnie. Ile mu dawali sąsiedzi, tego nie wiem. Może tyle samo. Może mniej. W moim bloku jest osiemnaście lokali. W każdym mieszka jedna, a w niektórych po dwie osoby na emeryturze. Każda daje listonoszowi pieniądze za tę grzeczność. Jemu się opłaca - stwierdził - i nam nie ubywa. Dziś dwudziesty dzień miesiąca. Przed dziewiątą albo niedługo po dziewiątej listonosz powinien zadzwonić do moich drzwi. Czekałem. Minęła dziewiąta. Minęło pół do dziesiątej. Dalej czekałem. Dziesiąta. Nie zadzwonił. Wyszedłem na korytarz, a tam czekali wszyscy sąsiedzi. Listonosz przyszedł przed dwunastą i nie ten, który zawsze przychodził. Nowy. Tamtego zwolnili. Za co, nie spytałem.

- A nie byłoby lepiej, gdyby pan sędzia założył konto w banku? - spytałem. - Dostawałby pan pieniądze na konto i odsetki. Zamiast dawać listonoszowi co miesiąc po dziesięć złotych za grzeczność, bank przekazywałby odsetki na pana konto. Pieniądz robi pieniądz. Dostałby pan kartę płatniczą i zamiast martwić się, czy ma pan gotówkę, za zakupy płaciłby pan plastikowym kartonikiem. A jeśli jest pan przyzwyczajony do gotówki w portfelu, to w drodze do sądu i z powrotem przechodzi pan koło bankomatu.

Majchrzak pokręcił głową. Po chwili spytał:

- Czy bank może zbankrutować?

- Może.

- Skoro złodzieje okradają groby, to i bankomat mogą okraść?

- Mogą - odpowiedziałem.

- Teraz takie czasy, że nic nie jest pewne.

III NAGRODA

KATARZYNA ŻYWOT-GÓRECKA

RATUNEK DLA POLSKICH DZIECI NA SYBERII - - KTO JE OCALIŁ?

Niezwykle cenna jest pamięć o naszych rodakach, którzy z poświęceniem i determinacją, pokonując ogromne trudności ratowali od śmierci z głodu, zimy i chorób polskie dzieci znajdujące się na Syberii. W latach 1919 – 1923 dwoje Polaków – nauczycielka Anna Bielkiewicz i lekarz Józef Jakóbkiewicz przy pomocy i zaangażowaniu rządu Japonii uratowało ponad 800 w większości osieroconych polskich dzieci. Wydarzenia te, rzadko przypominane, często nieznanego ogółowi społeczeństwa są świadectwem wielkiej odwagi i wszystkich najlepszych cech charakteru wykorzystanych do pomocy drugiemu człowiekowi.

Dzieci pochodziły z rodzin Polaków zesłanych przez carat na Syberię i do Mandżurii, były potomkami powstańców styczniowych i listopadowych, przesiedleńców i budowniczych Kolei Transsyberyjskiej. W okresie Rewolucji Październikowej i I wojny światowej na wschodzie Syberii mieszkało około 50 tysięcy Polaków. Po upadku caratu i zwycięstwie rewolucji nasilił się terror ówczesnych władz w stosunku do naszych obywateli. Los ok. 5 tys. dzieci osieroconych lub odłączonych od rodzin był szczególnie ciężki. Ratowanie ich stało się głównym celem działania Anny Bielkiewicz i utworzonego przez nią Komitetu Ratunkowego Dzieci Dalekiego Wschodu.



Józef Jakóbkiewicz

czesnych władz w stosunku do naszych obywateli. Los ok. 5 tys. dzieci osieroconych lub odłączonych od rodzin był szczególnie ciężki. Ratowanie ich stało się głównym celem działania Anny Bielkiewicz i utworzonego przez nią Komitetu Ratunkowego Dzieci Dalekiego Wschodu.

Pamięć o tych wydarzeniach była żywa do czasu wybuchu II Wojny Światowej. Od 1945r. do końca lat 80-tych ubiegłego stulecia nie należało sprawy nagłaśniać z uwagi na jej „niepoprawność polityczną”. Przebieg wydarzeń nie był zgodny z oficjalną i obowiązującą wersją przyjaznych stosunków polsko-radzieckich. W latach 90-tych wznowiono kontakty z Japo-

nią, zorganizowano przy pomocy Ambasady Japonii i Towarzystwa Polsko-Japońskiego kilka spotkań z udziałem nielicznych, żyjących jeszcze „Dzieci Syberyjskich”, w tym spotkanie z japońską parą cesarską.

Anna Bielikiewicz urodziła się w Rosji w 1877 r. Była córką syberyjskiego zesłańca, budowniczego i projektanta Kolei Transsyberyjskiej. Pracowała jako nauczycielka dodatkowo zajmując się działalnością społeczną. Józef Jakóbkiewicz urodzony w 1892 r. w Permie na Uralu także pochodził z rodziny polskich zesłańców, uczestników Powstania Styczniowego. Po ukończeniu studiów medycznych w Moskwie w 1918 r. otrzymał funkcję naczelnego lekarza sanitarnego we Władywostoku. Już wówczas zorganizował pierwszy harcerski hufiec, obejmując opieką ubogie i osierocone polskie dzieci.



Anna Bielikiewicz

Polacy zamieszkiwali praktycznie cały obszar Syberii, jednak najliczniejsze ich grupy znajdowały się na rosyjskim Dalekim Wschodzie od Amuru aż po Półwysep Sachaliński, głównie w miejscowościach Władywostok, Czyta i Chabin. Do 1917 r. za czasów caratu los polskich zesłańców był stosunkowo znośny. Cierpieli z powodu rozłąki z najbliższymi, borykali się z trudami odmiennego, ciężkiego klimatu, jednak dano im możliwość przeżycia. Mogli pracować na utrzymanie własne, przybyłych i założonych na Syberii rodzin, mogli kształcić dzieci i kultywować polskie tradycje. Zezwalano nawet na wznoszenie polskich kościołów. Wśród zesłańców nie brakowało przedstawicieli polskiej inteligencji. Rekrutowali się spośród nich projektanci i budowniczowie Kolei Transsyberyjskiej, przyrodnicy, geografowie, lekarze, nauczyciele.

Po upadku caratu sytuacja uległa dramatycznemu pogorszeniu. Rozpoczęły się represje ze strony bolszewików w odwecie za brak poparcia. Zlikwidowano polskie instytucje i prasę. Polaków zsyłano do obozów i miejsc odosobnienia, ludność wysiedlano. Częste były rozstrzeliwania i masowe egzekucje. W każdym przypadku polityka i działania prowadzące do niszczenia ludzkiego życia były przejawem okrucieństwa i niezgodności z zasadami humanitaryzmu. Sytuacja osieroconych, odłączonych od rodzin, zagubionych dzieci była niezwykle ciężka. W niewiele lepszym położeniu znajdowały się całe rodziny. Trudno opisać ich cierpienia. Panował głód, szerzyły się choroby zakaźne (głównie tyfus), brakowało lekarstw, odzieży, opału. Z braku jakiegokolwiek pożywienia dzieci żywiły

się nawet szczurami. Sytuację pogarszał niesprzyjający klimat. Zima na Syberii trwa nawet do 10 miesięcy, a rosyjski Daleki Wschód uważany jest za drugi po Antarktydzie najzimniejszy rejon świata. Zimą temperatury spadały do -50 st. C przy dużych opadach śniegu i silnych wiatrach. Latem warunki były lepsze, lecz lato na Syberii trwa krótko. Wsie i większe miasta były znacznie oddalone od siebie, drogi często nieprzejezdne, zimą zasypywał je śnieg, latem tworzyły się bagna i błoto. Podstawowym i najważniejszym problemem był brak pożywienia. Dramatyczne warunki życia pogłębiała świadomość rodziców, że w przypadku własnej śmierci pozostawiają dzieci pozbawione opieki, skazane na głód, choroby, samotność, śmierć w cierpieniach i udęce.

W zaistniałej sytuacji Anna Bielkiewicz i Józef Jakóbkiewicz wspierani przez polskich działaczy założyli 16 września 1919 r. we Władywostoku Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu. W skład Komitetu weszli również: Michał Bielecki (sekretarz), Jan Wyrzykowski, por. Alojzy Piotrowski (przedstawiciel Wojska Polskiego), Wilhelm Killer (przedstawiciel Domu Polskiego), Ludwik Hempel (przedstawiciel Towarzystwa Pomocy Inwalidom), Alfons Bednarski (przedstawiciel Towarzystwa Spółdzielczego Transportu i Handlu). Komitet natychmiast podjął się ratowania dzieci zagrożonych śmiercią z powodu głodu i chorób. Były to dzieci osierocone, zagubione, znajdujące się w sierocińcach oraz te, którym żyjący rodzice nie mogli zapewnić warunków do życia. W efekcie, różnymi drogami i po pokonaniu ogromnych trudności w latach 1919–1922 wywieziono z ogarniętej wojną domową Rosji 877 dzieci i 93 dorosłych.

Wśród dzieci znajdował się 12-letni Jerzy Strzałkowski, potomek uczestników Powstania Styczniowego. Po wybuchu Rewolucji Październikowej życie stracili jego ojciec Władysław i dziadek Adolf. Matka Stanisława z pięciorgiem dzieci i Jerzy utracili z sobą kontakt wskutek epidemii tyfusu. Jerzy wraz



Polskie dzieci we Władywostoku

z wujem Tadeuszem Sobańskim dotarli z uciekinierami na Daleki Wschód, gdzie spotkali Annę Bielkiewiczową. Wywiezieni z Syberii zostali również Wacław i Wincenty Danielewiczowie, bracia Wójcikowie, Adolf Stępowski, Stefan Jakliński, Innocenty Protaliński, Henryk Sadowski, Jadwiga Skąpska, Halina Tamara Nowicka, Weronika Bukowińska, Antonina Liro,

nauczycielka Maria Buglewska, która była krewną Stefana Żeromskiego oraz pozostałe dzieci i ich opiekunowie.

W 1919 r. we Władywostoku utworzono przytułek dla dzieci zwożonych z całego Dalekiego Wschodu Rosji. Amerykański Czerwony Krzyż wyraził zgodę na zakwaterowanie dzieci w amerykańskich koszarach i pomógł w zaopatrzeniu w żywność i odzież. Józef Jakóbkiewicz udał się w okolice Bajkału, gdzie panowała epidemia tyfusu. Przywiózł pierwszą grupę 98 dzieci, które wycieńczone, głodne i schorowane potrzebowały natychmiastowej opieki i leczenia. Niestety, w tym czasie placówki Amerykańskiego Czerwonego Krzyża wycofywały się z Władywostoku. Wówczas Edward Sienkiewicz udostępnił dzieciom swoją podmiejską willę. Dzieci stale przybywało. Członkowie Komitetu przywozili je z najróżniejszych zakątków Syberii. Osierocone, przestraszone były znajdowane w wysiedlonych wsiach, dawnych domach Polaków, w lesie, na ulicach



Wojska amerykańskie we Władywostoku

miast, na dworcach, w rosyjskich sierocińcach i przytułkach. Niektórzy rodzice, będący w tragicznej sytuacji sami przekazywali dzieci pracownikom Komitetu, wiedząc, że to dla nich jedyna szansa na poprawę losu i być może powrót do ojczyzny. Były to ciężkie decyzje, nie pozbawione rozpacz i cierpienia.

Stale brakowało środków pieniężnych niezbędnych do utrzymania i leczenia dzieci. Zasoby Komitetu kończyły się. Tworzące się państwo polskie nie było w stanie ze względów finansowych udzielić wsparcia ani zapewnić transportu dzieci do kraju. Opiekunowie z wielkim poświęceniem walczyli o każdy kolejny dzień bez głodu troskliwie opiekując się dziećmi. Postanowiono szukać ratunku wszędzie i na wszelkie możliwe sposoby. Pomocy odmówiły władze Chin i francuskie misje katolickie. Doktor Jakóbkiewicz udał się do Stanów Zjednoczonych, do Chicago, gdzie Polonia amerykańska zadeklarowała sfinansowanie przewozu i udzielenie pomocy 300 dzieciom. Na Syberii, w tym we Władywostoku przebywały japońskie oddziały wojskowe wspomagając walki z bolszewikami. Japonia wchodziła w skład sojuszu Ententa, którego członkiem było Imperium Rosyjskie. Działy również placówki Japońskiego Czerwonego Krzyża. Wiedząc o tym, w 1920 r. Anna Bielkiewicz udała się do Tokio, aby w ministerstwie obrony uzyskać pomoc w przewiezieniu dzieci do Japonii i ich zakwaterowanie, zanim będzie można zorganizować podróż do Ameryki. Pomoc uzyskana od

Japończyków, ich zaangażowanie i wsparcie były ogromne. Anna otrzymała dokument, który zobowiązywał wszystkie japońskie służby do udzielenia wszelkiej pomocy. W ratowanie polskich dzieci zaangażowani byli szef japońskiego MSZ, minister sił lądowych, minister marynarki, wysocy urzędnicy ministerstwa i prezes Japońskiego Czerwonego Krzyża.

Dzieci były transportowane statkami z Władywostoku do portu Tsaruga. Łącznie w latach 1920–1922 Japonia przyjęła i udzieliła pomocy 763 dzieciom, które po odzyskaniu zdrowia były przewożone do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze statki z dziećmi, które najpilniej potrzebowały leczenia odpłynęły do Japonii w lipcu 1920 r. Z portu dzieci pociągami udawały się do Tokio, pod



Cesarzowa Sadako

opiekę Czerwonego Krzyża oraz buddyjskiego towarzystwa charytatywnego Fukudenkai.. Dzieci przyjęto z wielką gościnnością, spotkały się z wieloma wyrazami sympatii ze strony Japończyków. Chore były leczone w szpitalach. Otrzymały pomoc materialną, z uwagą i poświęceniem troszczono się o ich zdrowie i samopoczucie. Organizowano nauczanie, wycieczki, występy, umożliwiono kontakty z japońskimi rówieśnikami, pisano na ich temat artykuły do gazet.

W pomoc dla polskich dzieci zaangażowała się cesarzowa Sadako. Cesarzowa, wówczas 36-letnia była honorową przewodniczącą Japońskiego Czerwonego Krzyża. Miała wielki wpływ na działalność cesarskiego dworu i podejmowała szereg istotnych decyzji z uwagi na słaby stan zdrowia męża, księcia Yashihito. W kwietniu 1921 r. cesarzowa osobiście odwiedziła dzieci w szpitalu Czerwonego Krzyża. Nie zważając na sztywny protokół dyplomatyczny, który zabraniał bezpośredniego kontaktu z wielkim zainteresowaniem rozmawiała z dziećmi i Anną Bielkiewiczową na temat ich zdrowia i wrażeń z pobytu w Japonii.

Anna Bielkiewicz starała się przybliżyć Japończykom ojczysty kraj dzieci. Przez 10 miesięcy wydawała w językach polskim, japońskim i angielskim ilustrowane czasopismo „Echo Dalekiego Wschodu”. Gazeta była powszechnie czytana, także na Dworze Cesarskim. Wydała również przy pomocy cesarzowej historię Polski oraz opowiadania, które ukazywały się w japońskich czasopiśmie.

Po kilkumiesięcznym pobycie i leczeniu dzieci japońskimi statkami udawały się do Seattle w Stanach Zjednoczonych, pod opiekę amerykańskiej Polonii. To-



Cesarzowa Sadako na spotkaniu z polskimi dziećmi.

warzyszył im Józef Jakóbkiewicz. Podróż do Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się we wrześniu 1920 r. (w sumie 6 transportów z 369 dziećmi; dzieci trafiły do polsko-amerykańskich sierocińców). Polonia przyjęła je bardzo serdecznie, zapewniła wszelką pomoc, utrzymanie i kształcenie w szkołach. W styczniu 1922 r. 310 dzieci (część powstała w USA) wyruszyło do Nowego Jorku, skąd odpływały do Polski, do Wejherowa gdzie utworzono dla nich ośrodki.

W 1922 r. dzięki staraniom Polskiego Komitetu Ratunkowego z rosyjskiego Dalekiego Wschodu przewieziono do Władywostoku, a stamtąd do Osaki kolejnych 300 dzieci. Ich stan zdrowia był jeszcze gorszy, niż dzieci z poprzednich grup. Dzieci były wynędzniałe, wygłodzone, w zniszczonej odzieży. W Osace były leczone, zaopatrzone je w odzież (były to japońskie kimona), uczęszczają do japońskich szkół. Tak jak poprzednio, przyjęto je niezwykle serdecznie. Japończycy przysyłali dary, część środków finansowych na utrzymanie dzieci cesarzowa przekazała z własnych prywatnych funduszy. We wrześniu 1922 r. władze Japonii zorganizowały podróż do Polski drogą morską przez Ocean Indyjski, Kanał Sueski, Morze Śródziemne, Ocean Atlantycki, Morze Północne i Bałtyk do Gdańska, a stamtąd do Wejherowa.

Anna Bielkiewicz wróciła na Rosyjski Daleki Wschód. Przy pomocy polskich organizacji i konsula Konstantego Symonolewicz, władz Japonii i Chin zorganizowała przewóz 117 dzieci i 14 dorosłych koleją do Moskwy. W organizację podróży zaangażował się też Feliks Dzierżyński. Dzieci dobrze zniosły podróż, również i one dotarły do Wejherowa.

Zakład w Wejherowie zorganizował i prowadził Józef Jakóbkiewicz z pomocą Anny Bielkiewicz. Udało się pozyskać budynki, dzieci uczęszczały do miejscowych szkół powszechnych i gimnazjum. W szkole przy ul. Reymonta uczyło się 34 syberyjskich dzieci. Młodzież uczęszczała również do Seminarium Nauczycielskiego, do szkoły handlowej i rolniczej, uczyła się rzemiosła w warsztatach. Część dzieci mogła opuścić zakład, ponieważ odnalazły się rodziny w Polsce (kilkadziesiąt osób). Jerzy Strzałkowski odnalazł matkę i rodzeństwo, razem zamieszkali w Ośrodku. Opiekunowie w Wejherowie starali się stworzyć jak najlepsze warunki.

Dzieci miały za sobą traumatyczne doświadczenia z pobytu na Syberii, tę-



Czasopismo „Echo Dalekiego Wschodu”

skniły też za zmarłymi rodzicami. Doświadczenia głodu pozostawiły głęboki ślad w psychice. Dzieci przez długi czas część pożywienia zakopywały i chowały w ogrodzie. W kontaktach z rówieśnikami i nauczycielami syberyjskie dzieci z reguły traktowane były dobrze, ze współczuciem, matki szykowały nieraz po dwa śniadania, aby syn lub córka mogli podzielić się z kolegą. Zdarzały się też nieprzyjemne sytuacje. Były to docinki

ze strony rówieśników i wroga postawa jednego z nauczycieli, który widział w dzieciach bolszewików i czerwoną zarazę. Nauczyciel ten został wkrótce zwolniony. Władze polskie starały się służyć pomocą, w kraju zaczęły powstawać Oddziały Komitetu Ratunkowego dla Dzieci Dalekiego Wschodu. Polacy przekazywali żywność, podręczniki, odzież, liczne osoby angażowały się



Hufiec Syberyjski w Polsce

w organizację spotkań świątecznych, kursów zawodowych, zajęć artystycznych. Ponownie zaczęto wydawać gazetę „Echo Dalekiego Wschodu”, w której opisywane były dawne i obecne wydarzenia. Już na Syberii Józef Jakóbkiewicz zajmował się harcerstwem. W 1923 r. Hufiec Syberyjski został reaktywowany

w Polsce. Na Półwyspie Helskim organizowano corocznie obozy pod namiotami dla 300 uczestników. Zakład w Wejherowie istniał do 1928 r. Następnie dzieci zostały zakwaterowane w bursie przy ul. Niskiej w Warszawie oraz Zakładzie Rolniczo-Wychowawczym w Kozielcu.

Z inicjatywy młodych syberyjskich repatriantów został założony Związek Młodzieży z Dalekiego Wschodu. Dzieci zdawały sobie sprawę, że Japończykom zawdzięczają to, co najważniejsze – życie. Gdyby nie udzielono pomocy większość z tych dzieci czekałaby śmierć z głodu, zimna i chorób. Związek starał się przekazywać wiedzę na temat tych wydarzeń, propagowano również kulturę, język i japońskie zwyczaje. Dzieci nazywały Japonię swoją „drugą ojczyzną”.

W dorosłym życiu „syberyjskie dzieci” wykazały się wieloma zaletami charakteru, pracowitością i działaniami dla społeczeństwa. Bracia Danielewiczowie zostali lekarzami i zamieszkali w Kartuzach. Jerzy Strzałkowski pełnił od 17-go roku życia funkcję prezesa Związku Młodzieży z Dalekiego Wschodu. Ukończył wydział psychologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, pracował jako kurator, kierował ośrodkiem dla dzieci, współpracował z Januszem Korczakiem. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r., dowodził batalionem „Jerzyki” w Powstaniu Warszawskim. Batalion ten rekrutował się z członków Związku Młodzieży z Dalekiego Wschodu. Po wojnie szykowany był przez ówczesne władze, nie mógł podjąć pracy zgodnej ze swoim wykształceniem, pracował w różnych miejscach i zakładach m. in. w administracji domów mieszkalnych, gdzie również zajmował się młodzieżą, za co został uhonorowany. Na emeryturze zajął się działalnością społeczno-wychowawczą w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci i pracą w związkach kombatanckich.

Innocenty Protaliński, były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, walczył w czasie II wojny światowej w podziemnym ruchu oporu. Henryk Sadowski był żołnierzem AK, uczestnikiem Powstania Warszawskiego, członkiem honorowym Towarzystwa Polsko-Japońskiego. Stefan Jakliński został szewcem i długoletnim członkiem znanego chóru „Harmonia”

Józef Jakóbkiewicz kierował Zakładem w Wejherowie do jego rozwiązania w 1928 r. W następnych latach zajął się medycyną morską i tropikalną. W 1935 r. organizował i kierował filią Państwowego Zakładu Higieny w Gdyni (Instytut Medycyny Morskiej). Działał również w Polskim Towarzystwie Pediatrycznym. Zmarł w 1953 r.

Anna Bielkiewicz kierowała wraz z Józefem Jakóbkiewiczem Zakładem w Wejherowie i opiekowała się dziećmi. Zmarła w 1936 r. W 2003 r. Japończycy nakręcili film „Jesień w Warszawie” z udziałem Anny Romanowskiej opowiadający o losach Anny Bielkiewicz i chłopca przywiezionego z Syberii. Za swą pracę i poświęcenie została wyróżniona przez Polski i Japoński Czerwony Krzyż przyznaniem jej honorowego członkostwa.

Na temat opisywanych wydarzeń ukazały się w Polsce nieliczne publikacje. Temat badał w latach 80-tych z punktu widzenia pedagogicznego Wiesław Theiss, profesor Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracę „Dzieci syberyjskie. Dzieje polskich dzieci repatriowanych z Syberii i Mandżurii w latach 1919-1923” wydał w 1992 r. wraz z japońskim korespondentem Matsumo Teruo również zajmującym się tym tematem. Jest to jedyna wydana w Polsce publikacja książkowa. Nieliczne artykuły ukazują się w mediach. Historią dzieci syberyjskich interesowała się nieżyjąca już wejherowska dziennikarka Regina Osowicka, udzielając wywiadów do prasy. Pamięć tych wydarzeń kulturowo Japoński Czerwony Krzyż, a w Polsce ambasada Japonii i Towarzystwo Polsko-Japońskie. W 1995 r. odbyło się pierwsze spotkanie z ambasadorem Japonii w Polsce, spotkania te były kontynuowane. W 2002 r. w Warszawie żyjący uczestnicy wydarzeń spotkali się z japońską parą cesarską. Organizowane były również wystawy fotograficzne.

Opisując historię Syberyjskich dzieci, dążąc do szczegółowego przedstawienia tematu z wykorzystaniem wszelkich informacji, do których udało mi się dotrzeć, chciałabym podzielić się z czytelnikami pamięcią o wydarzeniach i ludziach, o których nie można zapomnieć.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

BARBARA ZAKRZEWSKA

GAJE OLIWNE

Abrahamie gotowy na wszystko
cóż nam uczyniłeś
dzieląc winną gałązkę
na trzy
zakwitły ale każda daje
inne grona

ta od Izaaka fioletowe
ta od Izmaela zielone
a twoja granatowe

różne wino choć ze wspólnego źródła

jakaż to ziemia obiecana jeśli nie zna jedności
bo półksiężyc chciałby być ważniejszy
od gwiazdy

intifady dżihad kital pasy szahidów CaHaL
palma pierwszeństwa przechodzi z rąk do rąk

choć krew każdego jest
tak samo czerwona
a woda przezro-
czysta

i pomyśleć że rosną tam
gaje oliwne

MIMESIS

dzwonki
kto was rozkołysał

może trzmiel albo wiatr
rozdygotany kwiat kampanuli aż prosił o kopię
spozstrzegawczy ludwisarz odlał pierwszy kielich
z sercem jak wahadło

dźwięk musiał go zadziwić
jakby grzmot ociosany z dysonansów
zaślubiony z echem

bim bam bom bim bam bom

wyroili się kampanile wieże przestały być nieme
rozmawiają z każdą stroną świata w najprostszym języku
zrodzonym z ognia i gliny
ziemia was wykarmiła polne dzwonki i spiżowe kolosy
zanim poszybowaliście na spotkanie z błękitem
każdy dzwonnik przychyła jej nieba

ten dźwięk prowadzi jak światło
latarni morskiej

także przez Styks

SŁUCHAJĄC JAK TRAWA ROŚNIE

Miłość (...) jest wieczna jak trawa.
Desiderata

Kamasutra musi ustąpić jedenastu tysiącom
od miłki i bliźniczki przez drzączkę z tymotką
po mannę i stokłosę do łzawnicy z perlówką

wszędobylska

cieniutkie korzonki zawierają przymierze z ziemią
a kłosa pnące się ku słońcu
z niebem

nie zazdrości kwiatom
nie szuka poklasku wśród pszczół
nie unosi się pychą ponad mchy i porosty

błogosławi deszcz

koszona po wielekroć
odrośnie silniejsza
traktowana ogniem
odrośnie łagodniejsza
zabita posuchą
odrośnie cierpliwsza

wszystko przetrzyma

w każdym pokoleniu doskonalsza
zmysłowo kłosorodna
aż po Chleb

DWOJE MIMÓW

sprzykrzyły się wam słowa bez pokrycia
kłamliwe niebezpieczne podzielone na języki
zawierzylście mowie ciała

dusze przysiadły na ramionach jak synogarlice

trzy ostre gesty i poskramiasz dla niej lwa
dwa skłony i ona podaje ci trzepocącego motyla
jeden podskok i tylko wasz staje się księżyc
niełatwo wygładzać kraterzy czy penetrować jego ciemną stronę
ale inaczej nie poczułaby ciepła światła

synogarlice widzą w swoich oczach maleńkie zwierciadła

krok po kroku wspinaczka po dwustronnych szczeblach
razem szukacie czegoś w atramentowej czerni
rozpościeracie jedwabny szal już drżą w nim świetliki
ustawiacie je w Wielką i Małą Niedźwiedzicę
Gwiazda ma was prowadzić ku przeznaczeniu
ale kontrapunkty zamieniają miękkie ruchy w kanciastość
przemierzacie niejedną zakamarek labiryntów
dobrze że ciała sprzymierza niewidzialna nić

synogarlice przytulone jak kłębek popielatej wełny

czy nie za wcześnie budujecie pustą klepsydrę
czy naprawdę już czas przefiltrować
ostatnią wieloznaczność
w bezruchu

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

JERZY STACHURSKI

CZECZEWÒ: PRELUDIUM

To słowò, chtërno wërëgnãło ze spikù
Je mòjim janiolã
Z jegò òczu plëną jasné strëdži widu
Jak gòrnie zëwòtów swiãtów
Czë të je widzysz?
To nim zasëwóm
Zymkòwé pòle
Widzã jak cwiardną w sadze
I jak z miodnosã zëlnikòwëch pòłów
Schòdzą do wãptiów sonetu
I cëniò cëskają na rzëczy zastëgli w biegù
Czë i të
Zatrzimòsz sã
W wikù tegò słowa
Chtërno jem òbòcził
W krãgù jegò jasnotë
Prowadzãcą do zdrzòdła mądrosce
To słowò przënòszò brzòd
Dotknij gò
Zdrzë jak mòcno trzimie mòje zaprzëdži metafòrów
Jak òne gòsno klepiã kótama ritm wiërtë
Jaz pòszą mijónë w wanodze gãsë
I pòdriwają do lecbë z gniòzdów bòcònë
Bë razã z nima dińc do zdrzòdła mòwë
Chtërna jak gwiondza na niebie
Òdbijò sã w zdradłach jezór
W galeriach zëta i ówsa
Bë przëstanãc za zelonyma kùlisama lasów
Bë wniebòwstãpic do wiërtë
Jak słuńce òbczas witrzni

CZECZEWÒ: DODRZENIAŁĚ PIERSZĚ JABKA

DodrzeniałĚ pierszĚ jabka
Chtos zawòłòł:
Jablónka ògard òtemkła
Lecą do niegò
PtòchĚ z jarzĚbinĚ
Z tròwĚ wĚsoczi
Sòdają na gałązach
Na mùrze
Na dzĚczy kreszce

Terò mògã rzec:
Dali są pòła
Za nima je droga
I je jezoro
Na nim dwa kòłpie
ZanurzonĚ w sòmstwò
Jak deszcz w nótĚ jeseni -

DodrzeniałĚ pierszĚ jabka
Terò mògã rzec:
W Czeczewie
ZĚlnik jak kòscelny
Zbiérò na tacã niedzielĚ
Òstatné dĚtchi słuńca

CZECZEWÒ: WIERZĂ W NIEBÒ FÙL SKÒWRÓNKÓW

Wierzã w niebò fùl skòwrónków
I dlôte zymk je mapã krëjamnoscë
Za chtërnã parôt jesmë zapłacëc
Wiòldzé dëtczì
A twój przezdrzewny zdrok
Zmerkòł ze wszëtškò w Czeczewie
Dzeje sã pòdlug planu
Ptòch bùdëje gniòzdo
Słunce fùlëje słodzëznã brzadu
Białka jak winnica
Pòdchòdò pòd òkno òblëbiéńca

Wierzã w niebò fùl skòwrónków
Bò je fùl bëlnotë
Òsobné
Òdmieniwné przez czasë
Liczbë i òrtë

To z jegò wizawë
Bóg rozsëpiwò
Míodnosc i sól bòldzów
Tuwò ò pòrénkù
Zaczinò sã codzënnny tuńc gòdzyn
Chtërnym przëzërajã sã drogòwé lãpë
Tuwò zakwitł w ògardze W.
Pierszi snieźnik miłotë
Deptownik pò deszczu zalóny je wòdã
Płot Genka czekò na naprawã
Sàsòdka G. zabòcza nafùtrowac psë
Bób dozdrzeliwò na pòlu B.
G. slëchò radio pò pół czwiòrti
Brifka nie przëniòsl réntë ò czasu starce A.

Kòła przejeżdżającèch autólów
Ùklòdają melodiã na piãclèni pòlnia

Wierzã w niebò fùl skòwronków
I dlòte cządè rokù przèstanãlè na ji wachce
Bè w gòńbie dni i przètròfków
Ji lecadła nioslè redotã
Na wszètczè stronè swiata
Bè wznòszalè sã wèsok
I razã z miesãdzã
Chtèrnégò wid spòdò
Na szèjã kòzdegò pòdwòrzò
Bè jegò mieszkãncowie gòdelè:
Jakò to widzalò chwila
Bóg je z nama
W naszych chèczach
Niech głos ten dali pòwtòrzają
Cziwùtczi nad jezorama
I skòrcè nad chòwama jezów i zajców

Wierzã w niebò fùl skòwronków
Bò w cèchòscè głąbòczy przechòdzy
W sniegù biélè nòbièlszi
W dniu òdmikónym spiewã kùrona
Bè jem mógl pòwtarzac co dzèń
Wierzã w niebò fùl skòwronków
Wierzã w niebò
Wierzã

CZECZEWÒ: WIDZÒŁ JEM LEÇACÉ BÒCÓNÉ

Widzòł jem leçacé bòcóné
Prosto w òtemklé òkno jeseni
Za jich biòlima céniamà
Wanożèłë w tim samym czerènkù sadë

Jò czuł leçacé bòcónë
Nad rzéką,
Nad dolëznama fùl dôczy
Czedë wiater nëkòł
Za widnik zélnika

Namalowòł jem leçacé bòcónë
Przez paple
Przez aksamańt cëchòscë

Jesz jedna wòznò sprawa
Bàdze témą gòdków
Czczewszich proroków
Naléze plac
W biòłim ògrodze wièrztë

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

KRYSTYNA LEWNA

DAMA PYK

Czë Frãc szed na rëbë do lużku a tak hoczika zalożól o cosz, co mù mia wnetka wãdka zerwane, te òn dostól druk.

- Alaweter, ceż to je za rëba? - rzek do sã a cignã, aż sã zmok.

A czë wãdka sã złómila, tã òn wzã kam a wërzną w na wòda a to aż zachòlowa. Nen glos gò tak zdziwiól, że òn jesz rôz chwòcol kam i jesz rôz rzucól. Ódglos byl taczì sóm: jakbë to tam co zadrënowa hol. Tã sã zdją bükse a włôz w na wòda. Maklô a maklô i jakbë co czëje, ale to nie je grónt, bo tã òn bë doch ju nie żyl, czëbë òn grónt zlapól. Kożdi wië, że luszk nie mô dna, a òn co trzimól A to jakbë byl deczël òd gropa, ale wikszë i całszë. Jakbë kocel tam miól chto wrzuconë, abò zark? Na mesl ò zarkù òn sã aż wzdrëgnól. Kò nicht bë doch nie chcól wëcëgnąc zarka, tim barżi, że òn lë na rëbë szëd! Ale tu pò ni wójnie...? Kò różnò biwò? Ale zark? Mòże skrzeniã ze zlota? Kò ta mësł bëła czesto jinól! To mù sã dëcht widza. Òn, głupi Frãnc i skrzeniã zlota... gdzie òn bë so jachól...Wãłłł! Wszëtcë bë mù zazdroscëlë, bo jesz tak nicht rychti nié był z Knepelków nigdzë rëkniòni. Òn, Frãnc, piersi rëknie w swiat a widzól to i tamto, a tã òni bë so gò pitalé czë òn sã nié bojol, a co jòd, a jak tam bëlo...? Ta mësł mù da tãli sëlë, że òn szarpnã i pòd.

- Kò jò sã zerwól krzyż! - bolejšo zriknól Frãc. - Ni ma radë, trzeba jisc pò Ydëgò, ten sã zare tak nie wëgòdò, a tã trzeba mù co òdpalec, a bdze dobrze.

Tak mie nic tobie nic Frãnc sã zgrzebòl a lòz do wse. Klepië na òkno do Ydëgò. Ten doch nié był zos doma: - Òn je kòl Bolesa, albo gdzie indze! - rzëkla ta jeło.

- Gdzie indze, to znaczy gdzie?!

- Kò jò doch nie wim?

- Ta je chlapo! - pomëszlól Frãnc a nekòl do Bolesa. Jo, na szczesce, Ydi tam sëdzól.

- Pochwòlòni Jezus Chrystus! - rzëk Frãnc, ale nié żdol na òdpowiedz,

a wżã Ydygo na strona. Ten zarë wëtrzyzwiól, a sã wsadzól mùca na glowa i szed z Frãca.

Bogatim bëc, to je cosz? – mëslelé dwaj, ale zóden sã nie zdradzol, że jemù z-anolezi.

– Në terë të widzisz, że jò nielgól – wez, a pãknij kam! – kôzól Frãc. Ydi rzucol! – Zacha, to holeje! Kò më dwaj bdzëmë bogati!

– Abò przestraszóni! – rzëk Frãc.

– Të lë ò tim zarkù, a jò ò zloce, co to Niemcë miele ùkradli! Kò tam je centnar a móże lepi...

– Poj! Jak ma dwaj sã zaprzemë, të to do rada!

– Ale nié òszekùj! Żebë nié blo tak, że jò sóm dwigaja, bò jò cë znaja... Të tyż nié jes taczi na narobienie...– rzëk Ydi.

– Na rôz!

– Rôz! – rzëk Frãc, a të òni „chooooch”! A to nie da radë!

– Tu nie ma co, trzeba lëzc, a jesz kòłosz zwlëc! – rzëk Ydi.

– Ale żebë to nie blo tacze harlãżne? Bo tëch „dosë” më znajëmë! – rzëk Frãc – z tëma të sã nié dogòdòsz. To cë werwië wszëtko, à na kùncu rzëczë, że to òni nalezlë. Taczëch nij! Bdzë bida! Lepi të żebë to tu na wieczy wieków òsta!

– Ale tak tyż nié móże bëc! Kò trocha bë sã móg podzëlëc! Niech tyż maja! A të ju tak marno ò nich mëslish a òd różnych ich werómpiosz!

– Jò ich znaja lepi jak swòja tasza! To je charlëżne a chcëwe, że to bë spod së żarlo!

– Ale më dwaj nié dómë radë?! – albò të jidzësz pò kògòsz, albò më nic nié robimë, a lyzëmë dodóm? – rzëk Ydi. – Kò ta mòja...

– Të ju mje nic nié gadaj ò ti twòji! Kò ta nawëtka nié wiedza, gdzie të jes? – rzëk Frãc, a machã rãkã.

– Trzeba lezc do wse!– zadecydowól Frãc. – Ale do kògò më werëmimë? Mòsz të kògòs rozëmnegò na mësli?

– Kò jò mësza ò Bialkù! Òn mò kònia, të tëmë to zhòczimë a szarpniemë a bdzë rut!

– Bialk lubi wiele lazëc pò bùdach. Gdzie më gò nalyzemë? – rzëk Frãc.

– Nié ma radë! Trzeba gò nalezc! – rzëk Ydi. A te òni sã zgrzebale ë lëzle do wse. Bialka nie blo. Bò jakbë òn miól sëdzëc doma, jak to je tak ceplò!

– Ten stòri figluna je kòl Szornëczy! Trzeba tam lezc! Nié ma radë!

– Wele ze storim strecha! Kò to sã nié mieszczci w glówie, gdzie to lazi pò nocach!

– Bialkù! Bialkù! – wolają ni dwaj.

– Poli so! Cze co! Że wa sã tak wedzyròta na całò wies? – rzëk stòri. A òni mù na to tak a tak.

Zare sã zgrzeból i z Fòską stòjol kòl lużka.

- Ne të! Wijooo! - przęcig batugã, a Fòska aż klëkla.

- To je zacht skrzënia! - rzek stòri. - Wa mùszita jisc pò kògòs z tegò „sëtëgo kùncã”! Ti mają po dwa kònie.

- Jezës Maria, jak ma pòdzëmë pò tèch z „sëtëgo kùncã” kò ti nas zeżrà a nick nié dadzą! - martwiòł sã Frãc. Ti sã dosè! To lë sã tak wëdòwo, ale to tak mie nic tobie nic a jich sã mùszi zgadzac!

- Tu ni ma radè! - gòdò Bialk, më sã nié poradzimë. - A lepi dzyl, jak nic!

- Kò jò nigdë nié pojada do Amëryczy? - rzek Frãc.

- Za czim do Amëryczy? - pitò sã Bialk. - Ti naszi sã lepsi. Jak òni cë tak zaczną òpowiadac, të to sã nieròz zdòwò, że człowiek je w Zimbabwë. Òni nawetka jakbë jich jãzyka gdalë.

- Òn dobrze gòdò! - rzek Ydi. - Mie sã tyż wëdòwò, że ta mòja do mie w inim jãzykù pleszcze, a të jak òna sã westroi... Kò to je do ùcekani... Ale òna nij! To je móda! A wszëtko ze szpinów sprzed x-lat wyjãte - rzek Ydi, a sã zare pòmészłò, co òn splestòł. Żebë òn sã miòł lepi w nen jãzor ùgrëzle. Ale co z gãmbë wepadło, to przepadło!

- Pòjta! A nié chcëmë ju ti Fòszczy szafòwac! - rzek Bialk a reknã pod wies. Na okno do Krepla. Ten zare sã zjurzòł, a drawi pod luszki.

- Złoto! - gòdò do swoje, a na sã na deka zarzucela i wëwies. Òni lë sã òbezdrzelë, a cali „sëti kùnc” i „zmiari kùnc” był kòł luzkù.

- Cegnąc, mëre! - rikã Krepel. A konie aż klãkle. Kò to nie szło ani w ta, ani wëwta. Ne kò nié blo radë, trzeba wszetcze konie ze wse alac, a të drawã!

- Żebë wa le tegò nie rozdzarla! - wrzëszcza Krepelka - a të żebë to nie szło na dno, bo luzk nié mò dna!

- Chto tã jesz zaalarmowòł? - pitò sã Ydi, a Krepel lë sã tak wezdrzòł a rzek:

- Të, te mòje konie mają cëgnąc czë nij?

- Kò mają - zasromòł sã Ydi.

- Ne kò të! - Wijo! Wijo! Ne zryc nie dostóniesz! Wija!- Wrzëszczòł Krepel, ale konie ju nié mogłe. Legle sã, a bëło kùnc?

- Tegò złota tam je zacht! - Cëszele sã lëdze, a zacerale rãcã. - To bdze na ryze, a tòfleczi, a bükse...- wszëljaczë!

- Noprzód lë to wëdostac! - rzek Frãc, a të sã dzielec.

Ale ti ju bëłë poszczekùni, choc jeż nic nié blo wecignionë z luzkù. Kò taczi naròd! Co robic! To wszëtko chce żëc! I to charlãzne tyż! A nic nié pomòżesz, chocbë lokce ùrobiòł! Nëtre je nëtra a kùnc!

A të jak òni sã zapiarle! Ti z jednego a dredziego kùncã! Të to jakbë zdreża. Ale nic! - Ne niech të waje mëre dadzą co z se! - wrzëszczele ti ze „sëtëło kùncã”. A tim to tak szło w piãte, a ne swoje kònie gnalé, że tim aż szum szed z pëska. Tak tyż to zbugrowa, a bëłò rut.

- Ne co to je taczego? - òni sã wszëtce dziwile a obzerale jak kòt gorące krepce.

- Kò to je zloto zãbatka!

- Tejler! Òd zydzièra!

- Zloto!

- Alaweter, më jesmë bogati!

- Tëre na béda nama móże na pùczel wskoczëc! He, he...

- Dzëlec... a zëbë równo! A každemù równi dzyl... Bò jak nij... të zare sã to zgłòsi, a të ti państwowi przëjadą a bdze fardich!

- Chto mô miara - wrzëszczy Frãc. - kùli nas je?

- A stôrô Czarzbùнка?

- A cëz ta nama pomgła? Chto ja widzòl tu?!

- Ale òna je jedna z nas! Knepelkowo to knepelkowo! - rzek Frãc. Ale në babë wiedzële na co jima Czarzbùнка, bò òne doch nie ble chlaple! Czarzbùнка jak Czarzbùнка, ale chto tam jesz z nią mieszkòl?

Kò tam bëła Wrzosowò Pani! A ni chłopi aż sã slenilé, czë ja wiedzële.

- Kò ta stôrô czarownica, kò ta doch sã nié dowi, co më tu mómë welowionë? - gdale në babë a sã rózne mëslele. Ale chłop to le je chłop! Temù sã jinaczi zdòwòl!

- Jakbë ti Wrzosowi Pani dac sztek zlota... të òna bë ...Ach? - wzdichòl Frãc. A Ydi mët z nim.

Wszëtce chłopi we wse snile ò Wrzosowi Pani, chternã stôrô Czarzbùнка nié wiedzëc skąd mia? Bò jima jakbë zabraklo òdwodzi? A na stôrô noprzòd zanosza chleba w Pioszëszczy Las, choc nié blo wolno! Stôrô szla, a to ji wjedno jak przëszlo! A pózni no dzecko... co ni Cegònie wë wrzosu òstawili... Òna tyz podniosla i za swoje chowa.

Kò to cë bëlo dzeùwsa! Jine niż të knepelkowe. Brace! Iskra! Za ta w stednia! Malo... w stow! Kożdi chłop bë skoczol. Iskra - oni gdalë! Wrzosowo Pani. A nawetka tak z polska òni do ni gdale: „dzien dobrì, pani”? Në kò të te ich bialczy mògłe isc w left. - Taczi znajdze! Nié wiedzec nawetka chto to je? Më, jesmë chtos! Më, jesmë stąd! A to...? Znajda- wrzëszczële?! Pomùchla! To lë tak slypiamë przewrócò, a to jë wszëtko!

Zeżërlëbë jã, cze bë ni ta stôrô Czarzbùнка, a ta zna to plugastwo falszëwe, a ima grozëla chorobamé a ùrokamé. Të òni sã trzimalë z doleka, bò jinaczi nié dosz radë z nimë!

Ale tere zloto! A na zloto kòzdo bialka pùdze! Chłopi wiedzą, co je zloto doma. I chocbë był żeniali, te jednim glosã gòdòl, że Czarzbùncë tyz sã slëcho dzyl, a ju kòzdi z nich leżòl z Wrzosowóm Panią. Aj, Boże, dzàka! Za nasz luzk! Zloto! Wrzosowo Pani!...

Wrzosowo Pani to był chtos! Bialka, tak cenkò w pasu a fejn òbleklo, włosë

czôrne a lśniące, ni to co te knepelkowe bialczy; kò të miëlë taczy kòczy, jakbë sfilowóno òwczã wolnã spiãte, dludzie spòdnicë – nié wiedno dosc czëste, a fidzi! Jak òne to wëwiesélë na linë, të tim chlopom so chca rëczec. – Żebë tego blòs nicht nié widzòl! – òni sã meslële. – Żebë blòs nie padòl deszc, bo to bdze dwie niedziele stròsza lëdzi!

Tak po pròwdze të te jich bialczy wiedno gdale, że „nie mają czase”, bò mòle dzece, krowe, kùre, kaczczi...

– A derch po bùdach waji trzeba szekac!

A ta!...Òna mia czas! Bò na stòrò ji rzekla, że mò dbac ò sël!

Frãc szed piersi, a na òkno letko klepie. Z taką nowoscą kòzdi czul sã jakbë szed z Jezusa Chrystusa; kò tegò doch kòzdi przymnie!

– Co je lóz! – spita sã stòrò Czarzbùka.

– Kò më wama tu waji dzyl przeniosle – rzek Frãc.

– Dzyl, czego?

– Zlota!

– Biota dali! A mie tu nie wrzëszczë, bo jò prawie spa!

– Zloto!

– Bio wek!

– Zloto!

– Bio! A nie wrzëszcz! Më spima! – rzekla stòrò, a sã zwlekla z wëra i òtemkla ne dwyrze.

– Më tu wama nen dzyl, co slëcho každemù z nas z Knepelkowa przeniosle. Równò òdmierzone. Choc të babe sã tak sztridowale, że jò meslòm, że mie lep pãknie! Ale co waje, to je tu! Mòta! A òna je?

– Chto? – rzekla stòrò, ale wiedza dobrze ò kògò òn sã pito.

A òn lë sã tak na niã wezdrzòl, a bë na cali tidzen miòl snienie... to bë ju bëlo cosz? A tak ta samotność... A ta stòrò jegò? Aj, Boże! Dwa zãbë! Boże, daj pokù! Jakbë to tak miòl bëc z niã człowiek na trzëzwo, ten bë nié dòl radël!

– Mòta swój sztëk! – rzek Frãc.

– Cëz wa mòta narobione! Wa glepce, wa! – ta Czarzbùka sã zaczą wëdzérac, jakbë ja cosz postrzëlelo!

– Kò më to z luzkù wecignele! – rzek Frync.

– Wa zydziér zëcëgo skazëla! Wa glepce, wa!

– Tu je waji dzyl! Óstanita z Boga!

Stòrò sã zare òblekla a nëka pod luzk, zëbë jima rzec, że to nié slechò do lëdzi. Miele to òstawic, a lezc dodóm. Na to òni sã baro wkùrzele, że nié bdze jima takò, co nié wiedzec chto to je rozkaziwa? I co òna do nich rychti mò? Òni sã znają, a òna ...?

Stòrò zmerka, że nic tu pò ni, a sã nawrócela pòd dodóm.

Zlota nie wzã. Òdda.

- Wetknita sã to w rzec! - rzekla.

- Ta je chlaplo - rzekle nã bialczy, a chłopi pò równo sã dzélele nim tejla z luzkù.

Czasa sã zwadzele, że kùsk zamalo, abò zawiele temù czë nemù, ale jakosz to szło.

RADOSC

Bëc bogatym - kò to je marzenie každegò człowieka. Tak tyż w Knepelkach nastële sete lata. Òni lë sã përzna wilecã ùwilowale a z tim zare rëknele do Miasta i òpendzłowale. Chto miòl wikszì chlebowi piec, ten topiol, abò w kùzni. Ale do kùznie niezachãtno chòdzele, bo kowol jich wiedno òrznã. Zare to sã da zmerkac, że na północe Nordë je nobogatszo wies w calim kraju. Tak tyż wszëtce zdrzele na jich rozkwjit a dynamiczne rozwijanie.

- Wa mie rzeczeta, ale bez lgani, co wa decht môta za mytel na taczi doróbk - pitol sã gazëtnik.

A ti ju bëlë nauczeni, zëbë prowde nié gadac, tak wëmiszlale: jeden gòdòl, że mù cotka z Amëryczy wiedzì spadek przësła, dredzi, że nalòz poniemiecki, stòri czołg, a tã sã wszëtczëch wkòl pitòl, czë òni bë gò chcele, ale nicht go nié chcòl, tak tyż òn sã gò wzã a sprzedòl na złom. Trzeci miele zacha z Ùnią Europejską a rëntame strukturalnemé.

- Ale wa jesta za mlodi na rënte - gòdòl nen z gazytë.

- Kò më lë tak mlodo wëzdrzime, ale tak poprowdze më ju jesmë chori òd ty robote. Teli lat z aka, òka, szeplã.. To doch jidze w krzyż, że aż sã człowiek nié wie jak legnac.

A te dzece tak pomale rosçã... òni wiedno zmieniale nuta.

Dziwne to bëlo, bo sã jima nawet przëzerale ni wëszsi ze stoléce. Noprzd mëslële, że seją marihuana, bo pleszczã wszëtce òd rzeczë, ale zòdnego sladù ani widù konopiów. Kò? Nie wiedzec rychti co ich wzbogòcò? A prze tim òni sã jesz robiã coròz grepszi a frechowniszi.

- Jo - doktor gòdòl - to je prawda, bò wiele przechodo a jich mocno bolã brzëszsi. Wzdãti jaczisz lażã. Niejedni sã mają nadcãte ùszë, kò wëzdrzã jakbë jacze òbrzãdzczi rytualnë ùprowialé. Ale gòwno przeczena, to jë obzarstwo!

Tak ti z ny stoléce sã przëzeralé; jeden tidzeń, dredzi, trzeci, ale niczegò taczyło podejrzòneło nié przeuważëlé, blòs to, że ròz w tidzeniu calo wies jedze do Miasta jakbë na òbjawienie Matczy Boszcze sã nõzdrzëc. Ale kò to dòch nié je nic taczygo. Kòzdi mòże jachac do Miasta. Blòs tak calo wies naròz? A w bùdinkach nikogo? Żëwegò dëcha nié ma? To je dziwne? Stòri, mòli, mlodi, chori... kòzdi jachòl do Miasta jednego dnia ò jedni godzënie. A nazad tyż przejeżdżalë wszëtce razã, a tã sã zacã szarmycel: lómpów pokaziwanie, telewizo-

row, kaninków, prosent, kołowrotek, i cedow na kneplu.

– To mie wězdrzi, jakbë to bëło jaczesz swiãto jich tutejsze? – raportowol nen do stolecé. – Oni dychti jedzã. Pijã wiele sznapsë. Do kòscola nié chodzã, bò to ksãdz przéchodo do nich. Do každego w ùmówioni dzeń i na osobno godzena. Prawie koźdi dzeń w jini chęczi je mszô abò modlëtwa.

Rôz w tidzeniu przéchodo malôrza a jima robi pòrtrete. Kò të tu sã mózna naobzerac! Cëda! To je za môle slowo. Chłopi oblekają sã jez jako tako, ale të babë... jedna jak sã westroiła, të më sã aż naszczale w bükse; òna, tako zacht bialka, wbila sã w në kabaretcki, a to ji mùszelo kòl òblékani sã perna porwac, bò mia dzura na kolanie jak pisc. Na to włożëła krótsze bükse, a do tego szpilczy, że nie mogła ùlezc.

– Niech podeńdze! – òna rzekła do malôrza, a so sadła na pãk słomë. – Tërë móże malowac! – rzekła, a prze tim tak ukruzowa munia, że temu malorzowi aż ręka zadrza, a chłop był baf.

– To sã tak nie do òdraza malowac! – òn wrzeszczôł. – Kò jak wa mie tak bdzeta straszëła, të mie ërszlak chwôcia, a wëci nié przejada!

Ni ze stolece tyż mëslele, że jima w głowe zańdze, jak òni jesz tam perzna bďã jich podzyrale, tak sã zebrale pod dodóm.

– O niszczi szkodléwoscé do së a spodlecznosce sã to lëdze – rzek doktor òd lepa, – ale nie móże tam bez krómù, bò të to pùdzé wszëtko jak òni chcã. Nie móże bëc sznapsë! To sã wariace! Na trzyzwo, to jesz jima jakosz jidze!

Nôbarzi na swiece òni sã bojele dentyste. Jak òni czële „boli zãb”, në kò te jakbë òni czële kùnc swiata. Tego sã bôleje gorzi jak diôbla. Wrzeszczeni, a dzërce, to bëła jich jedna rada! Jak chtosz sã ju muszol werwac kut, ko te pól wse z nim jacha met do dentyste, żebe go trzemac za lep a szpyre, co bë òn nie zwiornã.

Tak bëło z nã szpyrk Hannkã, jak ja zaczy tak bolec, że ju nié blo radë, të pól wse z nią karowa do Miasta, a të dzyl chłopów trzëmól dwyrzë, a dzyl Hanka, żebë òna nié zwiornã.

CHLAPLI Sã CHLAPLI

Czë jich naszed górz, të òni sã midze se werumpiale òd różnëch, ale tyż miele tacze dni, że jima sã tesknilo za dównim, dobrim zëca. Të òni rëczelë za nema bulewka, a jaja a kwasnim mlëka...czë òni sã mogle tak legnac a rozmészlac ò trowie, zbożu, chòwie.. To bëłë nôlepsze lata jich zëcegò! Oddële bë wszëtko, za to „stòre zëce”, bo „nowygò nie mogã zledac”. Pice, pice, pice..., chto bë dól rada?! Òni ju nié mogã? Jima sã czãsto pomileło w dezmarach! Òni chcã tak, jak bëło czedes?! Stòri wadzol, ale òna i tak lazela po bűdach. A tërë stòri lazi, òna, gďzë blós dësza zapragnie. Ale jak zëc? Czë wszëtko, cë wolno?

A nicht niczego nié nakazëje i zakazëje?

Të òni zaczãle rëczëc!

- Më chceme sã ùwolniç òd ty przegrzyszi! Zlota! Czarzbùnczi! - wrzëszczële.

Stôrô Czarzbùнка czëła w gnotach, że dlugo jich czarame nié wstrzimò, że ti sã coroz to dristniszi a odwozniszi. Ten sznaps robiol swoje. Nij na darmo tam był zakòz prowadzenia kròmwow. Coroz odwoźni òni podchodale: i chłopi i bialczy a ò Wrzosowo Pani sã pitale:

- Kò më doch ju mómë wszëtczë nolepszë stroje! - gòdale na babë, a sã szpyglowale - të, co ti streszi wemiszlają. Derch le ò Wrzosowi Pani më czëjemë, aż to chce ùrwac głowë.

- Chceme ja zabic! A sã wszëtko do nas naprawi.

Stôrô Czarzbùнка widza të rozjuszonë mordë. Czële, że przed Jana ich mórze wżisc gòrz „scinania kanie” i wewlek! ja na òmieræ. Tak tyż sã zerwa i wżã Wrzosowo Pani pod pazecha i rekną drogą wedle Czornego Lasu prosto do Miasta.

Ale na drodze czekale ju knepelkowi ledze. Widle miele i czede...

- Wa sã gdzie wëbirota? - pitalé.

- Nij - rzekla stôrô a przespieszëła krokù.

- Chwace je! Në czarownice przeklëtë! Dzise më sã z nima rozpraimë!

Wrzucele je na wóz i wewiozle tam, gdzie sã wiedno rozpòła swientojańszczy òdzin.

Zdzërle z Wrzosowe Pani kled, tak, że òna stoja calo nagò. Szarpa sã, ale jich bëło weci. Chłopi ja dotikale, a òna recza. Bjolczy sã do ni smùlele, aż poszamotali ji włosë. Të jedna przeniosła knip a ùcen ji te klate.

- Szentopierz je tere z cë, a nij Wrzosowo Pani! Wrzosowo Pani! Pykowo Pani! Twwwujj...! Plewale dzywczecu w gãba.

Stòri Czarzbùnce kozale na to wzerać, a czë ta òmdla, të òni ji wjedno jednego w pësk òmieszale.

- Të nié chca zlota! - wrzëszczelë na nia - Tere môsz! Më sã wżãle twój skòrb! Je cë fejn!

Ale stôrô szamota sã z czedów, a rëcza tak miłosiermie, że to aż nié blo do slechani.

- Pùszczeta ja! Pùszczeta! - wrzëszcza. - Òna nie mô wama nic zrobionë!

- Òna mô to nama zadónë! - òni na to. - Më przez nia nié mómë spac i nie mómë žëc, bò w nas to tak co szëmi a trzeszcz! Dzise më sã ùwólnime òd tego! Kania musi bëc scãto! I scele Wrzosowi Pani lep.

Stòri Czarzbùnce pãklo serce, a juszi bawile sã do rëna. Pile i fest tancowale. Bëlë z se baro zadowoloni.

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MARIA MICHAŁOWSKA

DOM NA POGRANICZU SNÓW

Wciąż ta sama ścieżka z ogromnymi jak parasole liśćmi łopianu po obu jej stronach. Szelest wysokich traw, coraz szybsze kroki. Gdyby nie bosa stópka migająca wśród zarośli można by pomyśleć, że przemyka się wśród nich jakieś spłoszone zwierzątko. Mała srebrna łyżeczka w zaciśniętej pięstce – talizman na lepsze dni i skrzypięcie nigdy nieoliwionych zawiasów furtki z brakującą sztachetą uspokoiły nieco bicie serca dudniącego niczym młot kowalski tłukący w kowadło. Jeszcze tylko kilka kroków i... już jest stara jak świat piwniczka, o której wszyscy dawno zapomnieli. Zarośnięta zielskiem i samosiejkami brzoź zbawienna kryjówka zapadnięta do połowy w ziemię. Nie dociera do niej słońce, ale dochodzą różnorodne dźwięki: porykiwanie krów, szczekanie psa, pobrękiwanie ocynkowanych wiader przygotowywanych do wieczornego udoju i ten głos... wywołujący paniczny lęk, paraliżujący całe ciało...

Ostre promienie słoneczne wtargnęły do pokoju przez nieprzysłonięte roletą okno. Młoda kobieta podniosła się gwałtownie na posłaniu, by po chwili oprzeć się na miękkich poduszkach. Przez moment toczyła walkę z pamięcią, chcąc wyrzucić z niej uparcie powracający senny koszmar. Była coraz bardziej pewna, że nie poradzi sobie sama z tak bolesnym problemem. Na dzisiejszy dzień miała konkretny plan. Wzięła szybki prysznic i wypila kilka łyków mocnej porannej kawy.

Już po godzinie przekraczała mury uniwersytetu. Lekko wbiegła na pierwsze piętro, podążając w ślad za grupką studentów kierujących się w stronę auli, gdzie rozpoczął się wykład. Młodzi ludzie wyraźnie nieprzejmujący się spóźnieniem zajęli nieliczne wolne miejsca, ona natomiast zatrzymała się w drzwiach. Najchętniej wycofałaby się, lecz stanęła nieruchomo, czując, że jest teraz w centrum uwagi prowadzącego wykład. Spowodowało to ledwo wyczuwalną przerwę w prezentacji. Można było zauważyć, że damska część braćki studenckiej zorientowała się, że coś musi łączyć ich ulubionego wykładowcę

z młodą atrakcyjną brunetką, która pojawiła się na sali. Po kilku sekundach profesor kontynuował przerwany wątek:

- Utajone kompleksy i przeżycia – mówił, wykryć można przez psychoanalizę za pomocą wolnych skojarzeń, interpretacji snów, czy wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Mając świadomość ich istnienia poprzez wydobycie ich na zewnątrz, łatwiej jest wyciszyć organizm, a tym samym wyzwolić go z psychicznej niewoli – przekazywał swoją wiedzę znawca teorii naukowej Freuda.

Angela była prawdopodobnie jedyną słuchaczką, która podczas prelekcji wybitnego profesora całkowicie się wyłączyła. Trwało to aż do chwili, gdy fala zafascynowanych tematem, dzielących się na gorąco uwagami uczestników zajęć wyległa na przestronny, jasny, ożywiony egzotyczną roślinnością hall.

- Angela! – posłyszała znajomy głos, który przyprowadził ją o dreszcz – zateśniłaś za mną, czy za uczelnią? – żartował profesor Bart.

- Przyciągnął mnie tu temat pańskiej prelekcji, lecz nie ukrywam, że miło było pana słuchać, a i widzieć także – odpowiedziała bardzo oficjalnie.

- Przemawia przez ciebie kokieteria, czy też tak bardzo się postarzałem? No tak, minęło przecież sporo lat – odpowiedział sobie na własne pytanie.

- Ty natomiast kwitniesz, piękna jak dawniej, rzekłbym, jeszcze piękniejsza – wyrażał zachwyt.

Angela spostrzegła, że studentki z zazdrością patrzą na swobodną rozmowę przystojnego naukowca z kobietą, której dotąd nie widziały na uczelni.

- W kwestii uważnego słuchania, nie zgadzam się z tobą. Przyznaj, że chodziło ci bardziej o mnie, niż o wykład. Spojrzał na nią wyczekująco, lecz ona nie zareagowała, więc kontynuował rozmowę.

- Szczerze cieszę się z tego spotkania. Podczas prelekcji patrzyłem głównie na ciebie. Moje studentki zauważyły to, czego ty nie widziałaś i teraz – jak im się wydaje – dyskretnie nas obserwują – podtrzymywał żartobliwy ton wypowiedzi.

- A teraz proszę, żebyś posłuchała rady poważnego profesora – zmienił nagle styl swoich wywodów. Angela uśmiechem skwitowała niedokończoną myśl Barta. – Tym razem nie żartuję. Znam twoje problemy. Ktoś, kto bardzo się o ciebie martwi, opowiedział mi o nich. Nie miej mu tego za złe. Poleć ci dobrego psychoterapeutę – mówił, patrząc jej prosto w oczy.

Nie czekając na jej zgodę sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wizytówkę, co świadczyło niezbicie, że był nastawiony na bezpośrednią rozmowę.

- A więc to wszystko było z góry ukartowane... – pomyślała niezbyt zadowolona. Bart podał Angeli karteczkę. Figurowało na niej nazwisko Monroe z pierwszą literą imienia. Spojrzała na profesora nieco zdziwiona, a on uśmiechnął się widząc jej reakcję.

- Zapewniam cię, że człowiek, którego ci polecam nosi spodnie, ma pięk-

ną wypielegnowaną brodę i co najważniejsze, nie ma nic wspólnego z Marilyn Monroe – dodał szczerze rozbawiony. Pozwól sobie pomóc – powiedział prawie szeptem.

Podszedł bliżej, mając zamiar pożegnać się z nią czule. W porę jednak uświadomił sobie, że nie są tu przecież sami. Młode atrakcyjne dziewczyny nie spuszczały z nich oczu. Spojrzał kokieteryjnie na jedną z nich na co ta, wyraźnie speszona zareagowała gwałtownym odwróceniem głowy. Popatrzył raz jeszcze na Angelę, wyjątkowo tego dnia małomówną. Przyglądał się jej przez kilka sekund, jakby chciał się jej nauczyć na pamięć, po czym odwrócił się i odszedł bez słowa.

- Nic się nie zmienił – pomyślała przejęta do głębi niespodziewanym spotkaniem po latach. Siedząc już za kierownicą Lamborghini wspominała wspólnie studenckie czasy. Gdy pomyślała o obecnym dniu jednego była pewna. Gdyby wiedziała, że Bart poprowadzi ten wykład, nie pojechałaby na uniwersytet.

- A może tak właśnie miało być? Zastanowiła się. Tak, stwierdziła po namyśle. To spotkanie może mieć jakiś ukryty sens... Stało się tak, jak przypuszczała. Po spotkaniu z Davidem dopadły ją istne huśtawki nastrojów. Najpierw żałowała, że uległa namowom Steve'a i poszła na wykład, by po chwili być przeświadczoną, że było to jej potrzebne. Od kilku lat nie wspominała Barta, jakby wcale nie było go w jej życiu, a przecież była nim oczarowana. Do dzisiaj nie wie, co nią kierowało, że zdecydowała się na rozstanie. Nie było żadnego konkretnego powodu. Uświadamiając sobie fakt, że skrzywdziła mężczyznę, który ją kochał, sądząc, że z wzajemnością, obudziła w sobie zagłuszone przez lata wyrzuty sumienia.

- Nie wyglądał na nieszczęśliwego – próbowała się uspokoić, co nie było proste. Utrudniało to znacznie wspomnienie dzisiejszego pożegnania. Zaniepokoiła ją jego powaga i ukradkowe badawcze spojrzenia. Rozdarcie psychiczne nie do opanowania trwało już kilka dni.

- Szukałam sposobu na rozwiązanie problemu, a pogąrzyłam się jeszcze bardziej – myślała rozgoryczona.

Ostatecznie, nie mając innego wyjścia zdecydowała się skorzystać z porady psychoanalityka poleconego przez Davida. Po tygodniu stanęła przy drzwiach gabinetu Monroe, który przyjął ją niezwykle serdecznie. - Prawdopodobnie postępuje tak ze wszystkimi pacjentami – przemknęło jej przez myśl.

- Po pierwszym seansie hipnozy może się niewiele zmienić – uprzedzał terapeuta. Sądzę jednak, że cała kuracja przyniesie korzystne efekty i znacząco odmieni całe pani życie – dawał kobiecie nadzieję.

Angela powściągliwie zareagowała na jego słowa. Uważała, że dyktowane są rutyną zawodową. Czuła jednocześnie, że powinna mu zaufać. W głębi duszy

musiała przyznać, że jest profesjonalistą, bowiem tak pokierował rozmową, że w jej trakcie zorientowała się, że bez oporów opowiada o najboleśniejszych nawet problemach.

Usiadła posłusznie na siedzisku przypominającym szezlong. Zamknęła oczy, by w skupieniu wsłuchiwać się w kojący zmysły głos Monroe. Zanim wpadła w głęboki trans hipnotyczny usłyszała słowa dochodzące jakby gdzieś z oddali:

- Otwierasz furtkę i kierujesz się w stronę ganku przed domem... Lekarz zadał jej jeszcze jakieś pytania, na które już nie odpowiedziała. Odplynęła na granicę snów tam, gdzie w mglistych mirażach majaczył dom na wrzosowiskach stojący na tle ściany gęstych lasów.

Biały cabriolet gładko sunął po autostradzie. Czarne i srebrne detale lśniły w słońcu. Kierowcy mijających go samochodów z wyrozumiałym uśmiechem spoglądali na rozśpiewanych pasażerów Lamborghini. „- jak piękna jest młodość, cały świat moim domem...” – dały się słyszeć słowa piosenki.

Auto wyjechało na peryferie miasta. Przejeżdżali teraz przez piękne drzewiaste tereny tworzące zielony, kojący zmysły tunel. Kierowca najwyraźniej zmierzał w stronę lotniska. Zajechał na zatłoczony parking. Z samochodu wysiadło pięcioro młodych ludzi w wieku około trzydziestu lat. Opalony na czekoladowy brąz mężczyzna o wysportowanej sylwetce wyjął z bagażnika niewielką torbę podróżną i podszedł do brunetki o proporcjonalnych filigranowych kształtach.

- Nie zapomnij, że masz tu wielu przyjaciół – powiedział, podając jej bagaż. - Angela, jak możesz to wszystko zostawiać? Z salonów do starej wiejskiej chałupy z ponurą przeszłością? Przemyśl swoją decyzję, dopóki nie jest za późno – odezwały się głosy.

- Dbaj o naszą perełkę Steve. Wierzę, że uda ci się pomnażać zyski. Życzę ci tego z całego serca. Co do mojej decyzji, nie cofnę jej. Nie potrafię i... chyba tego nie chcę – skwitowała wypowiedzi przyjaciół.

Za takich uważali się wszyscy towarzyszący jej w drodze na lotnisko. Ona sama nie szafowała słowem przyjaźni, mimo iż ci, którzy byli blisko niej, nigdy jej nie zawiedli. Im zawdzięczała wszystko, co składało się na jej sukces. Nie należała do zbyt ufnych kobiet, szczególnie względem mężczyzn dlatego też nie znalazła dotąd partnera. Nie ubolewała nad tym faktem, chociaż zdarzało się jej z nieskrywaną zazdrością spoglądać na szczęśliwe pary. Gdy bohaterka tego lipcowego popołudnia miała już przekraczać bramkę dla pasażerów samolotu usłyszała słowa Steva: – zapamiętaj nasze motto... I rozległ się śpiew, który wzbudził powszechną sensację – „Jak piękna jest młodość, cały świat moim domem...”

Angela uśmiechnęła się, przekroczyła barierkę, uniosła rękę w geście pożegnania i wmieszała się w tłum pasażerów. Samolot wjechał na pas startowy, by w niedługim czasie wzbić się w przestworza. Bez żalu spoglądała z góry na

tętniące życiem miasto. Spędziła w Bostonie kilkanaście lat dobrego życia. Można by powiedzieć, że miała wiele szczęścia. Trafiła na ludzi, którzy podobnie jak ona zaczęli od zera, mieli głowy pełne pomysłów i zapał do pracy. Żyła pełnią życia otoczona ludźmi radosnymi. Świat nie miał dla nich granic. Gdy zostawała sama przed jej oczami pojawiał się natrętnie powracający obraz: stary, wiejski dom na wrzosowiskach, stojący na tle rozległego lasu. Pojawiał się już nie tylko w snach, potrafił nękać ją także w ciągu dnia.

- To może być efekt traumy z dzieciństwa, jakieś silne przeżycia związane z tamtym miejscem, bądź też zwykła nostalgia. Nie wiem jak mógłbym ci pomóc. Nie chciałbym żebyś się truła prochami. Na moje oko radzisz sobie...

Przytaknęła, lecz w głębi duszy nie zgadzała się z opinią zaprzyjaźnionego specjalisty. Wiedziała, że nie jest książkowym przykładem i żaden psycholog nie zrozumie stanu w jakim się znajduje, a który pojawił się nagle przed rokiem. Doprowadzał ją do coraz większych frustracji. Nie miała już sił, by z nim walczyć, poddała się. Zdecydowała, że po piętnastu latach wróci do rodzinnej wsi, by w domu będącym niegdyś kartą przetargową w walce o majątek, zacząć wszystko od nowa. Czuła wszystkimi zmysłami, że dom stoi samotny, opuszczony, nikt go już nie potrzebuje, tak jak wówczas przed laty jej nikt nie potrzebował. Utożsamiała się z nim. Rozumiała go tak jakby był żywą istotą.

- Powinnam go zniechęcić za tamte chwile - tłumaczyła sobie. Nie potrafiła. Jakaś przedziwna siła przyciągała ją do niego.

Przez kilka godzin nie myślała o przeszłości, ani też o wspaniałej teraźniejszości, którą właśnie porzucała. Najdziwniejsze było całkowite zdanie się na łaskę i niełaskę losu, niezastanawianie się nad przyszłością. Jej dotychczasowa działalność absolutnie wykluczała tego typu zachowania.

Nieco głośniejsze rozmowy toczone się wśród pasażerów wytrąciły Angelę z zadumy. Rozejrzała się po samolocie. Wśród uczestników lotu można było wyczuć emocje świadczące o kończącej się podróży. Ona sama była nadzwyczaj spokojna. Jej stan przypominał trans. Stewardesa o nieprzeciętnej azjatyckiej urodzie z iście aktorską dykcją oznajmiła, że za kilka minut samolot przystąpi do lądowania.

Będąc jeszcze na terminalu Angela zauważyła, że wzbudza powszechne zainteresowanie. Na postoju taxi było podobnie. Właściciel taksówki starał się zabawić ją rozmową. Mówił, że zna się na ludziach, lecz nie udało mu się błysnąć erudycją i talentem oratorskim. Pasażerka nie dała się też wciągnąć w gierki rutyniarza usiłującego „skubnąć” cudzoziemkę. Zrozumiał w końcu, że jego wysiłki idą na marne i ograniczył się do zerkania w lusterko. Szybko okazało się, że chęć zysku była silniejsza. Zaproponował jej jazdę do samego celu podróży, nic nie wskórał. Do Niezgoddek jechała już sama, konną bryczką wynajętą od gospodarza mieszkającego kilkanaście kilometrów od jej rodzinnej wioski.

Miała ze sobą jedną walizkę, w której mieściły się rzeczy osobiste i niewielka gotówka na trudne początki. Jadąc w rodzinne strony, a pożegnała je kiedyś na zawsze, zadawała sobie pytania: – Skąd te obsesyjne myśli? Skąd nagle decyzja porzucenia dostatniego bezpiecznego życia? Niezrozumiała moc opanowała całkowicie jej silną dotąd wolę. Czuła się jak ubezwłasnowolniona, a jednocześnie ufała losowi, który jej nakazywał: musisz wracać!

Wjeżdżała właśnie na rozległy teren pod lasem ogrodzony spróchniałym parkanem. Zanim zdecydowała się przekroczyć furtkę coś nakazało jej być tą samą dziewczyną, która przed laty opuściła dom na wrzosowiskach. Już nie Angela, lecz Amelia bez namysłu wyjęła z walizki stary rozwleczony sweter z melanzowej włóczki w odcieniach szarości i różu, zrobiony specjalnie dla niej przez babcię. Włożyła go, wciągnęła zwykłe jeansy, włosy zebrała w koński ogon i skierowała się w stronę ganku przed domem. Jej serce tłukło się jak ptak uwięziony w klatce.

Rozejrzała się wokół całej posesji. Okazało się, że nie była tu sama. Na ławce, która – można by rzec – stała tu od zawsze, wylegiwał się kot o lśniącej, burej przegowanej sierści. Na widok Amelii otworzył jedno oko, spojrzał na nią, ziewnął szeroko, przeciągnął się i na powrót zasnął. Kobieta popatrzyła na zdziczały sad i zarośnięty ogród. Niepielęgnowane dorodne niegdyś róże rozrosły się jak chwast, tworząc naturalną kolczastą zaporę. Zupełnie jakby strzegły wejścia przed niepożądanymi gośćmi. Musiała wreszcie przekroczyć próg domu.

– Nic się tu nie zmieniło – stwierdziła, gdy znalazła się wewnątrz mieszkania. Trzeba było jednak uważać. Zmurszałe deski spowodowały, że podłoga się zapadła i niektóre ze sprzętów niebezpiecznie się przechyliły. Słoneczna pogoda zachęciła Amelię do otwarcia okien. Do środka ciekawie zajrzały malwy.

– Doskonale sobie poradziłyście bez babcinej opieki – odezwała się, ni to do siebie, ni to do kwiatów. – Już rozmawiam sama ze sobą, jak sobie poradzę z samotnością? – zaniepokoiła się.

Popatrzyła na obejście gospodarskim okiem. Miała już gotowy plan. Na początek nawiąże kontakt z sympatycznym starszym panem. Tym, który udostępnił jej bryczkę z koniem. Poprosi go o przywiezienie desek, farb, podstawowych narzędzi ślusarskich i ogrodniczych. – Remont przeprowadzę sama – zdecydowała. Piwniczka w ziemiance doskonale się zachowała, tymczasowo zastąpi mi lodówkę – przeszło jej przez myśl.

W tym momencie precyzyjny plan, który układał się w jej głowie zakłóciło coś, co doprowadziło ją niemal do omdlenia. Podłoga usunęła się spod jej nóg, gdy jakby z oddali usłyszała płacz dziecka, a zaraz po nim męski głos i przeraźliwy chichot. Wybiegła na zewnątrz. Podeszła do studni, nabrała wody do starego ocynkowanego wiadra i zacerpnęła jej w dłonie. Optukała twarz i wzięła głęboki oddech. Zimna woda podziałała jak balsam.

- Nie dam się złamać złym wspomnieniom - postanowiła i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę opuszczonego w pośpiechu domu. Resztę dnia spędziła na przygotowaniu niepotrzebnych rzeczy do wywózki. Jeszcze przed wieczorem zajrzała do pomieszczenia przysposobionego niegdyś na spiżarnię.

- Przydałoby się jakieś światło... W szufladzie kuchennego kredensu znalazła stare woskowe świece.

- Chodź gołąbeczko, pomożesz mi ustawić gromnice w oknach. Niech nas Najświętsza Paniienka ustrzeże przed nieszczęściem - mówiła babcia do Amelki gdy zanosilo się na burzę, a były one na wrzosowiskach zazwyczaj potężne i budziły grozę. Przy każdej błyskawicy, która jak świetlisty bicz przecinała niebo babcia żegnała się nabożnie i szeptała pacierze.

Amelia na dłuższą chwilę zatrzymała w wyobraźni to wspomnienie. Świece na jakiś czas zastąpią mi światło elektryczne. Może być całkiem romantycznie - starała się utrzymać pozytywne myślenie.

Weszła do zagraconego pomieszczenia niczym nie przypominającego dawnej spiżarni. Przy samych drzwiach stała drewniana komódka z trzema szufladami. Otworzyła pierwszą z nich. Była wypełniona pożółkłymi gazetami. Z tej, która leżała na samym wierzchu wycięty był spory fragment. Oczyma wyobraźni ujrzała brakującą część z nagłówkiem krzyczącym czarnymi wielkimi literami i z trzaskiem zamknęła szufladę. Wahała się, zanim zdecydowała się otworzyć drugą. Nie było w niej nic godnego uwagi. W ostatniej obok bezużytecznych drobiazgów leżała mała srebrna łyżeczka i zbutwiały woreczek z lnianego płótna ściągany na rwący się ze starości sznurek. Zajrzała do środka i oniemiała z wrażenia... Zawartość nie była godna takiej oprawy.

- Amelko, te perły są cenniejsze niż dom wraz z ziemią, która do niego należy. Przechowam je dla ciebie - mawiała babcia gdy zostawały same i wyjmowała spod bluzki woreczek noszony na szyi obok medalika. Wnuczka potakująco kiwała głową i uśmiechała się. Nigdy nie przywiązywała wagi do jej zapewnień. Teraz w obliczu spełnionej po latach obietnicy stała w bezruchu. Jak to możliwe żeby tak cenna rzecz przeleżała tu kilkanaście lat? - myślała wstrząśnięta niezwykle odkryciem.

Będąc już w pomieszczeniu, które tymczasowo przeznaczyła na sypialnię zorientowała się, że ścisła w dłoni srebrną łyżeczkę. Nie pamiętała, w którym momencie ją wzięła, zrobiła to bezwiednie.

- To przedmiot, który przyniesie ci szczęście - uświadamiała ją babcia. Od pokoleń istniał w naszej rodzinie zwyczaj obdarowywania srebrną łyżeczką dzieci przychodzących na świat. Strzeż ją, jak najcenniejszego skarbu.

Po pełnym emocji dniu Amelia marzyła tylko o jednym: błogo przeciągnąć się w świeżej pościeli i zasnąć. Nie było to jednak realne. Musiała zadowolić się śpiworem, który przezornie zabrała ze sobą, wyruszając w podróż.

Kolejne dni wyteżonej pracy powoli zacierają złe wspomnienia, co spowodowało, że w przeciwieństwie do poprzednich, przesyiała noce spokojnym zdrowym snem. Jej działania zmierzające ku temu, by doprowadzić do porządku opuszczone, zaniedbane siedlisko dawały efekty. Wciąż jednak musiała znosić wiele niedogodności. Łagodziło je nieco, wyjątkowo piękne lato. Nie narzekała ponieważ wszystko szło zgodnie z planem. Z życzliwą pomocą Mateusza, który znał się niemal na wszystkim, prace remontowe zakończyła bardzo szybko. Dom stawał się coraz bardziej przytulny i... potulny. Kojarzył się Amelii z oswajającym zwierzątkiem. Miała jednak nieodparte wrażenie, że w tej przedziwnej relacji, wbrew pozorom, to nie ona dyktuje warunki lecz dom właśnie, który odzyskuje utraconą duszę. To ona, niczym dobra wróżka miała zdjąć z niego złą aurę. Tak to odczuwała, mimo iż zdarzało się jej mówić, że ckliwość i sentymentalizm nie są teraz w modzie.

Otoczenie domu także zmieniało wygląd. Zadbane i wypielęgnowane rośliny nie tylko zdobiły. Plony z ogrodu i szklarni oraz zbiory z sadu początkowo pomagały jej przeżyć, teraz przyniosły zyski. Odstawiała je na okoliczne targi.

Nadeszła jesień. Dorodne owoce w rozległym sadzie cieszyły oko. Kobieta podeszła do okna. Pod posesję zajechała konna bryczka. Wysiadł z niej Mateusz, a zaraz za nim młody mężczyzna trzymający oburącz sporych rozmiarów pakunek.

- Amelio, przedstawiam pani mojego syna - powiedział witając się z nią. - Amadeusz, miło panią poznać. Byłem ciekaw tego spotkania. Ojciec wiele mi o pani opowiadał. Muszę stwierdzić, że w tym, co mam zaszczyt oglądać absolutnie nie przesadził - dodał z uśmiechem.

Już od pierwszej chwili, kiedy to Mateusz przedstawiał swojego syna, o którego istnieniu nie miała pojęcia, nurtowało ją pytanie: skąd takie właśnie imię? Amadeusz - nieco dziwne. Analizowała w myślach, czym kierowali się prości ludzie nadając je synowi.

Zorientowała się, że zbyt długo milczy. Uśmiechnęła się i zaprosiła obu mężczyzn do pokoju.

- Przyniosłem upominek. Przyda się, jak sądzę. Proszę go nie odstawiać, lecz jak najszybciej wykorzystać. Koniecznie - dodał.

- Musi być strasznie zarozumiały, a takie dobre wrażenie zrobił w pierwszej chwili - pomyślała nieco rozzarowana Amelia.

Wypadało rozpakować prezent. Amadeusz czekał na jej reakcję. Była to okazałej wielkości tablica z napisem „Niezapbudki”. Spojrzała na gości pytającym wzrokiem.

- Obaj z ojcem uznaliśmy, że poprzednia nazwa absolutnie już nie pasuje. Poza tym niezapbudki mają kolor pani oczu - powiedział. Spojrzał jej uważnie w twarz, jakby chciał się utwierdzić w tym, co powiedział. Amelia, która w

wielkim świecie nasłuchiwała się wielu wyszukanych komplementów, teraz była speszona i onieśmielona.

Podczas rozmowy przy herbacie okazało się, że Mateusz zainteresowany jest masowym odbiorem owoców i warzyw. Poprosił syna, by pomógł im we wstępnych procedurach.

- Nie spodziewałem się, że rozmowy o interesach mogą być aż tak przyjemne i ekscytujące. Wszystko wskazuje na to, że od czasu do czasu będę musiał panią odwiedzić – rzekł z nadzieją.

Amelia nie odebrała mu jej. Przez ponad rok jedynym jej towarzyszem był kot Teofil i zaglądający co jakiś czas sąsiad. Odtąd na herbatę z konfiturą przyjeżdżał także Amadeusz. Uświadomiła sobie nagle, że z niecierpliwością czeka na kolejne jego wizyty.

Nie powracała już myślami do dawnego życia, które miało jej zapewne wiele do zaoferowania. Korespondencja z Bostonu przychodziła coraz rzadziej. Steve uspokajał ją, że interesy idą nadspodziewanie dobrze.

- Wracaj – zachęcał. – Tu jest twoje miejsce – pisali i mówili inni. Nie przekonywała ich, że to niemożliwe. Sądziła, że nie rozumieją. Myliła się, rozumieli i uszanowali jej twardą, nieodwracalną decyzję. Tylko jeszcze jeden raz Steve zażartował:

- Angela, ten dom ciebie zaczarował.

- Tak, masz całkowitą rację – odpowiedziała z powagą. Po tej rozmowie zarówno korespondencja, jak i telefony, urwały się.

Czas od momentu przyjazdu Amelii do Niezłódek pędził w szalonym tempie. Płynął tu znacznie szybciej niż w Bostonie. Kobieta spojrzała na kartkę kalendarza.

- Dziwne – pomyślała. Zupełnie jakby czas stanął w miejscu. Była dokładnie taka sama data, jak przed dwoma laty gdy opuszczała Boston.

Styl życia już nie panny, lecz pani Amelii i jej małżonka Amadeusza dyktowały pory roku. Od wiosny począwszy, aż do późnej jesieni byli pochłonięci pracą. Dawała im wiele satysfakcji i spore zyski. Po pracowitych miesiącach Amelia miała sporo wolnego czasu.

Było mroźne popołudnie. Młoda gospodyni odłożyła na chwilę robótkę i podeszła do okna. Czapy śniegu rozłożone dekoracyjnie na gałęziach skrzyły się w słońcu. Kolorowe iskierki załamującego się światła przeskakiwały jak żywe przy każdym poruszeniu się obciążonych białym puchem konarów. Gdy nacieszyła oczy uroczą zimową scenerią powróciła do haftowania. Amadeusz stanął za jej plecami by zajrzeć przez ramię.

- A cóż to za małe dzieło? – zapytał.

- Dla wielu będzie tylko makatka, jaką zwykle wieszano w kuchni. Dla mnie znaczyć będzie dużo więcej – odpowiedziała, uśmiechając się tajemniczo.

Tą na pozór banalną makatką Amelia żegnała się z przeszłością, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Czuła jednak, że ma dług wobec losu, który ją tu przywiódł. Nie był to według niej ślepy los, lecz przeznaczenie. Ono zaś posłużyło się starym domem, który do niej przemawiał. Skrzypiące drzwi, gwałtowne otwarcie się okna, suchy trzask stopni drewnianych schodów, pomruki, szmery i wiele innych odgłosów. Do jej świadomości docierały słowa: będziesz tu szczęśliwa, uwierz! Wiedziała, że przyjdzie czas, gdy dom zamilknie, i że będzie to dobry znak. Powie tym samym, że jego misja dobiegła końca. Ona z przeświadczeniem, że zadbał o jej szczęście przekona bliskich, że dom to nie tylko cztery ściany i dach, a coś znacznie więcej.

W grudniowy przedświąteczny wieczór w Niezabudkach, w drzwiach domu na wrzosowiskach pojawił się Mateusz.

- Wkrótce wigilia - powiedział. Usłyszeli najpierw jego głos, bo przysłała go piękna, dorodna jodła. Dopiero po chwili małżonkowie ujrzeli jego pogodną twarz. Miał bardzo tajemniczą minę.

- Otwórzcie drzwi od werandy - poprosił. Stała za nimi drewniana rzeźbiona kołyska i pięknie malowany koń na biegunach.

- Nie mogę się doczekać, kiedy mój wnuk przyjdzie na świat i wystrugałem wcześniej - tłumaczył się zakłopotany.

- Przyjdzie na świat, jak zakwitną jabłonie, tato. Koń na biegunach musi poczekać nieco dłużej niż ty - żartobliwym tonem odpowiedział Amadeusz.

W przytulnej kuchni przy herbacie z konfiturą z róży zasiadła szczęśliwa rodzina. W oczy rzucała się wisząca na ścianie haftowana makatka. Znajdował się na niej stary dom wśród wrzosów, stojący na tle ściany gęstych lasów oraz napis: „Świat był mi domem, dziś dom moim światem”...

- Czy ten drobiazg ma dla pani jakieś szczególne znaczenie? A może wartość sentymentalną? - pytał Monroe, podając pacjentce małą srebrną łyżeczkę. Wypadła pani z dłoni podczas seansu - dodał.

Pierwsze jego słowa Angela posłyszała jakby dochodziły z głębokiej studni. Spojrzała na pytającego półprzytomnym wzrokiem. Czuła się tak, jakby powróciła z międzygalaktycznej podróży. Spojrzała na łyżeczkę i dotarło do niej pytanie Monroe.

- Podobno przyniesie mi szczęście - odpowiedziała na nie z niewielkim opóźnieniem. Jej twarz rozjaśnił delikatny uśmiech. - Mam pewną propozycję, pani...

- Angela, mam na imię Angela. - przepraszałam, ale w dokumentach figuruje pani jako Amelia - stwierdził. Żeby się upewnić, zerknął do formularza. Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale imię Amelia bardziej pani pasuje.

- To moje drugie imię - sprostowała zaskoczona prywatnym tonem rozmowy. Po dopełnieniu końcowych formalności, włącznie z ustaleniem daty kolejnej

wizyty, gdy podopieczna Monroe, stała już w drzwiach, poprosił ją o chwilę rozmowy. Konkretny stanowczy i pewny siebie mężczyzna zmienił się nagle nie do poznania.

- Zapytam panią o coś, z czym już czuję się niezręcznie. Nigdy dotąd nie znalazłem się w takiej sytuacji. Obawiam się, że źle mnie pani zrozumie, ale muszę to w końcu powiedzieć – wyrzucił z siebie niemal jednym tchem, cały potok słów.

- Nie mogę wiedzieć, co ma pan na myśli, ale może właśnie dlatego czuję się równie niezręcznie. Proszę zatem powiedzieć w czym tkwi problem, a łatwiej będzie nam obojemu.

Słowa Angeli ośmieliły doktora. Znacznie pewniejszym tonem zapytał ją wprost: zechciałaby pani uczynić mi ten zaszczyt i spotkać się ze mną prywatnie? Nie zdarzyło mi się dotąd, proponować spotkań swoim pacjentkom. Tym razem czuję, że muszę zrobić wyjątek.

- Czy traktuje pan tę propozycję jako element psychoterapii? Zadała mu pytanie, lecz nie potrzebowała potwierdzenia. Kobięca intuicja nie mogła ją mylić.

- Podoba mi się pani i jej nieprzeciętna wrażliwość. Czuję się przy pani tak, jakbym ją znał od bardzo dawna. Padły słowa, których się spodziewała.

- Istnieje zatem ryzyko, że szybko się panu znudzę – zażartowała.

- Mam rozumieć, że moglibyśmy zaryzykować? – zapytał z niepewnością.

- Zgoda, lecz nie znam nawet pańskiego imienia. Na wizytówce znajduje się jedynie jego pierwsza litera.

- Mateusz – przedstawił się i z szarmanckim uśmiechem ucałował jej dłoń.

Po krótkim milczeniu spojrział jej w oczy i cicho zapytał: mówił ci już ktoś Amelko, że twoje oczy mają kolor niezabudki? Amelia odwzajemniła spojrzenie, lecz nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Co do imienia, sytuacja jest dziwnie podobna do twojej. Mateusz to moje drugie imię, otrzymałem je po ojcu. Mów mi zatem Amadeusz, bo to imię właśnie dostałem podczas chrztu.

Amelia nie miała z wrażenia. Serce biło jej jak oszalałe. Patrzyła na niego, nie mogąc wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

- Nie podoba ci się Amelko? – zaniepokoił się.

- Ależ tak, bardzo mi się podoba, tylko...

- Nie musisz nic mówić, najważniejsze, że przypadło ci do gustu. Mamy zatem taki sam problem. Musimy oswajać się z naszymi nowymi imionami – odrzekł już zupełnie swobodnie.

Amelia nie rozumiała splotu dziwnych wydarzeń związanych z jej życiem. Nie wiedziała już, co jest snem, a co jawą...

Od ostatniej wizyty w gabinecie Amadeusza minęły zaledwie trzy miesiące,

a okrzyknięto ich parą. Trwały przygotowania do ceremonii zaślubin. W upalne czerwcowe popołudnie podjechali pod dom ukryty w prawdziwej oazie zieleni. Przyjęli zaproszenie babci Amadeusza.

- Spodoba ci się u niej, gwarantuję – zapewniał narzeczoną. Pogodna starsza pani czekała na nich na ganku oplecionym gąszczem troskliwie pielęgnowanych róż.

- Dobrze, że jesteś gołębiczko. Czuję, że się bardzo polubimy. Nie masz nic przeciwko temu żebyśmy usiedli w kuchni?

Weszli do pomieszczenia urządzonego w ciepłych rustykalnych klimatach.

- To ulubione miejsce Amadeusza – powiedziała, wskazując na fotelik przy stole, tuż przy ścianie, na której wisiała haftowana makatka. Widniał na niej motyw domu na wrzosowiskach stojącego na tle gęstych lasów rozciągniętych, aż po horyzont. Amelia gotowa była przysiąc, że gdzieś już ją widziała. Czegoś jednak na niej brakowało. Mimo usilnych starań nie mogła sobie przypomnieć o jaki element chodziło.

- Najwyraźniej dom ma tu być najważniejszy, pomyślała przytulając się do Amadeusza, a on jakby czytał w jej myślach, głosem pełnym dostojnej powagi powiedział: dom jest najważniejszy...

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU
www.biblioteka.lebork.pl

Rysunki
Anna Kotkiewicz

ISBN 978-83-60731-22-2

Wydano nakładem:

Miasta Lęborka

Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Projekt składu i druk

DRUKARNIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail boxpol@post.pl

www.boxpol.pl